TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI
Łódź, 27. X. 63.
Nr 43 (295)
Cena — 1 zł.

KONFERENCJA U MECENASA
nowa powieść WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA którą drukujemy na łamach naszego pisma

odgłosy

WIDZ sprawa NAJWAŻNIEJSZA

RYSZARD STEFAŃCZYK

U progu każdego nowego sezonu teatralnego występuje w Polsce powszechny wzrost zainteresowania teatrem.

W owym okresie czasopisma poświęcają wiele uwagi planom repertuarowym i zmianom personalnym, teatry inaugurują sezon konferencjami prasowymi i atrakcyjnymi premierami, liczni zaś widzowie oczekują nowych wydarzeń artystycznych, wiążąc je bądź z zapowiedzianym repertuarem, bądź też z nazwiskami nowo zaangażowanych aktorów.

Łódź nie jest wyjątkiem. Obecny sezon poprzedziła tradycyjna już szeroka informacja na temat zamierzeń repertuarowych poszczególnych teatrów, zarówno na łamach prasy codziennej jak i w tygodniku „Odgłosy".

Warto byłoby jednak zaznaczyć, że w bieżącym sezonie bodźcem wzmagającym zainteresowanie teatrem, było XIII Plenum KC PZPR, którego problematyka między innymi dotyczyła roli i funkcji teatru w życiu społecznym kraju.

To szczególne wydarzenie stanowi niezwykle korzystny klimat, w którym może rozwijać się teatr.

Nie chodzi tu zgoła o cieplarniane warunki, np. o wysokie dotacje, nagrody, czy też pochwalne recenzje. Chodzi przede wszystkim o atmosferę żywego zainteresowania. Teatr potrafi przeżyć wszelkie trudności, nawet niesłuszną krytykę, lecz zabije go obojętność.

XIII Plenum partii, podkreślając znaczenie teatru w procesie kształtowania socjalistycznej świadomości, skoncentrowało uwagę instancji i działaczy organizacji społeczno-politycznych na pracy teatru, wzmogło ich zainteresowanie możliwościami, jakie posiada teatr w zakresie oddziaływania na społeczeństwo, co w końcowym efekcie winno wpłynąć na systematyczny wzrost liczebności widowni.

Jednym z ważnych problemów, jakie przychodzi rozwiązywać teatrowi, jest sprawa frekwencji. Wiedzą to doskonale ludzie teatru, jednak trzeba zwrócić uwagę na fakt bezsporny, że w świecie współczesnym liczą się przede wszystkim zjawiska masowe, że dalszego rozkwitu sztuki scenicznej należy upatrywać w umasowieniu teatru.

Jaki teatr może się stać teatrem masowym?

Odpowiedź na to pytanie jest w zasadzie prosta. Teatr zaangażowany, teatr współczesny, obarczony zadaniami kształtowania wyobraźni i świata uczuć ludzkich, głębokiej ideowości i socjalistycznej postawy, taki teatr, jaki postuluje XIII Plenum partii.

Powyższa teza znajduje uzasadnienie w praktyce. Zajrzyjmy więc do danych statystycznych. Tutaj na wstępie jedno zastrzeżenie — zdaję sobie sprawę, że nie w każdej kwestii dostarcza nam statystyka pewnych dowodów — wiele zależy od umiejętności jej odczytywania — uważam jednak, że przy ogólnej analizie problemów, zaufanie, jakie się jej okazuje, jest w pełni usprawiedliwione. Dlatego przestudiujemy niektóre liczby dotyczące trzech łódzkich teatrów.

W okresie od lutego 1960 r. do czerwca 1963 r. — a więc na przestrzeni 40 miesięcy — Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza wystawił 26 sztuk, Państwowy Teatr Powszechny 33 sztuki, zaś Państwowy Teatr Nowy 30 sztuk.

Do najchętniej oglądanych spektakli, z tego też względu najdłużej granych, można zaliczyć w Państwowym Teatrze Nowym „Ladacznicę z zasadami" — Sartre'a — graną 108 razy, „Historię o chwalebnym zmartwychwstaniu" graną 104 razy oraz „Kuglarzy" — Skowrońskiego granych 91 razy.

W Państwowym Teatrze Powszechnym cieszyły się popularnością następujące spektakle: „Fantazy" Słowackiego, grany 42 razy, „Sen nocy letniej" — Szekspira, grany 64 razy, „Skowronek" — Anouilha, grany 54 razy, „Grube ryby" — Bałuckiego, grane 77 razy, „Przed maturą", który to spektakl grano 61 razy oraz sztuka „Serce w matni", grana 62 razy.

Natomiast w Teatrze Jaracza największe powodzenie osiągnęła „Wierna rzeka" — Żeromskiego w adaptacji Orłowskiego, którą grano 81 razy oraz „Zemsta" — Fredry, grana 71 razy, „Krakowiacy i Górale" — Bogusławskiego, grane 70 razy, „Igraszki z diabłem" — Drdy, grane 68 razy, jak również wystawione w tym czasie dwie sztuki Brechta „Kariera Artura Ui", grana 40 razy i „Strach i nędza III Rzeszy", wystawione 64 razy.

Nawet z tak pobieżnej analizy wynika całkiem wyraźnie, że obok klasyki cieszą się popularnością sztuki zaangażowane w szerokim tego słowa znaczeniu, że odbiorca stroni od teatru, którego oblicze ideowo-artystyczne sprowadza się do zagadnień estetyczno-formalnych, a treści

Dalszy ciąg na str. 5

Serdecznie witamy w Łodzi i województwie bohaterów kosmosu - Walę Tierieszkową i Walerego Bykowskiego

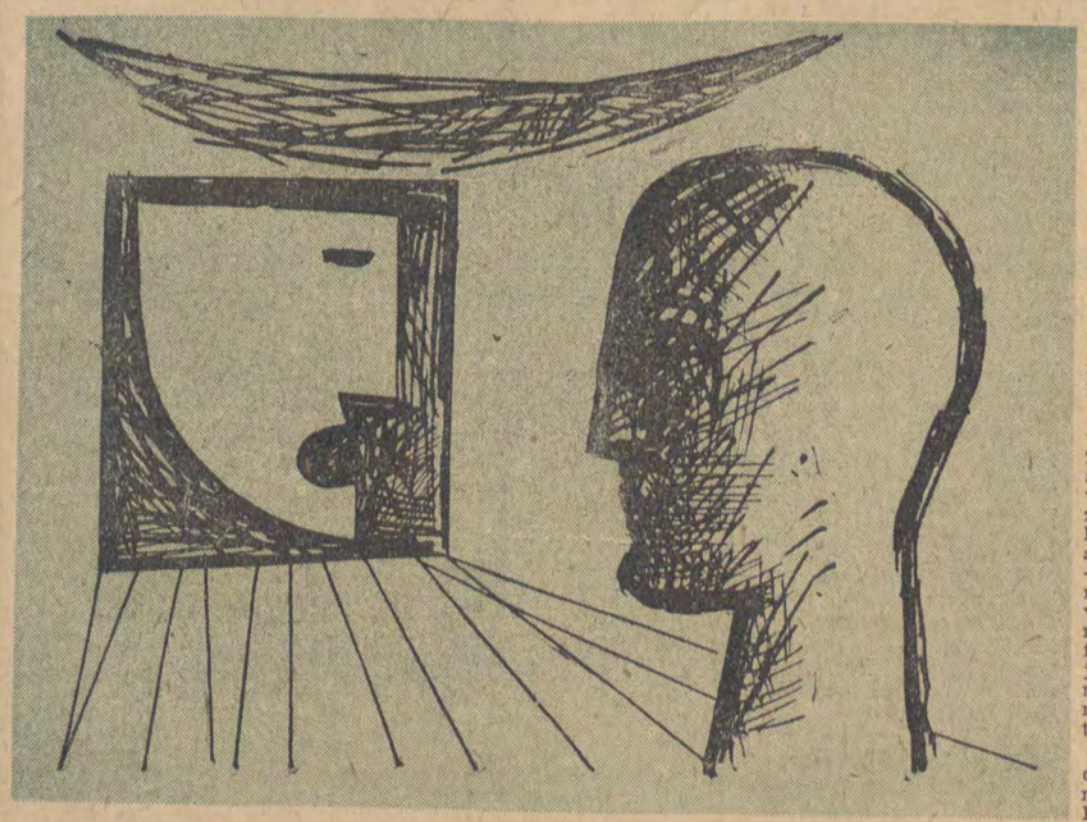

WIESŁAW BEK

POLITYCZNE lęki eks-kanclerza ADENAUERA

Pożegnanie miało hałaśliwą oprawę. W przeddzień opuszczenia kanclerskiego fotela prezydent Luebke wydał największe w dziejach NRF przyjęcie, w katedrze bońskiej nuncjusz apostolski odprawił na tę cześć mszę pontyfikalną, po której ustępujący 87-letni kanclerz pospieszył na pożegnanie z dziennikarzami niemieckimi. Tu stwierdzając, że **„odchodzi z uczuciem uspokojenia, ponieważ istnieje Bundeswehra"**, Adenauer dokonał szczególnego bilansu swej nieprzerwanej 14-letniej kadencji. — W tym czasie — oświadczył kanclerz — występowałem publicznie 1.411 razy. Na tę liczbę składają się: 647 przemówień, 450 wywiadów, 152 referaty lub podpisane nazwiskiem artykuły, 92 konferencje prasowe i 69 deklaracji rządowych. Żaden szef rządu niemieckiego nie występował publicznie tak często...

Następnego dnia jeszcze pożegnanie w Bundestagu, jeszcze wiele listów od zachodnich mężów stanu, jeszcze lawina artykułów w prasie niemal całego świata i ...

Zanim jednak wyjaśnię, co nastąpi po „i" — spróbujmy przypomnieć sobie wspólnie, czym zamyka swą erę jeden z najbardziej nieprzejednanych wrogów światowego pokoju i bezpieczeństwa.

Z pewnością w encyklopediach pod hasłem: **ADENAUER Konrad"** pozostaną po nim wzmianki w rodzaju: **gorący rzecznik remilitaryzacji Niemiec i polityki paktów militarnych, propagator idei „wyzwolenia" Niemieckiej Republiki Demokratycznej i rewizji granicy na Odrze i Nysie, bojownik zimnej wojny ze szkoły dullesowskiej..."**

Będzie to trafna charakterystyka stetryczałego kanclerza, choć pozbawiona wielu barw i odcieni. By obraz zimnowojennej postaci był więc doskonalszy posłużę się tutaj niektórymi cytatami, tym bardziej znamiennymi, że zaczerpniętymi z prasy zachodniej, a zatem sojuszniczej ...

„DAILY MAIL": „Robił, co mógł, by utrzymać napięcie między Wschodem i Zachodem..."

„TIMES": „Opierał się wszelkim usiłowaniom dojścia do porozumienia z Rosją... Można go słusznie oskarżać, że i w dziedzinie wewnętrzno-politycznej jego brak elastyczności stał się niebezpieczny."

„GUARDIAN": „Największym błędem reżimu Adenauera była jego polityka wobec Wschodu... Kultywował niebezpieczne złudzenia, że najlepszym sposobem działania na rzecz zjednoczenia Niemiec było czekanie na załamanie się reżimu Ulbrichta".

Zaledwie trzy spośród bardzo wielu głosów. Przyznacie, Czytelnicy, charakterystyczne.

Jakiej więc wizji rozwoju

Dalszy ciąg na str. 2

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

Irena Bołtuć-Staszewska

Kierownik literacki — mówi Irena Bołtuć-Staszewska — w teatrze polskim jest na ogół tylko doradcą. Jego funkcje sprowadzają się do redagowania programów, czy publikacji wydawanych przez teatr, do prowadzenia korespondencji z autorami nadsyłającymi sztuki, wreszcie do opiniowania, czy wyszukiwania tekstów. Inaczej jest w teatrach niemieckich i czeskich. Tam dramaturg — taki bowiem przysługuje kierownikowi literackiemu tytuł — ma znacznie szersze kompetencje. Dla przykładu Teatr S. K. Neumana, który grał u nas niedawno, zamawia dla siebie teksty, dramaturg jest od strony teatru bezpośrednim konsultantem i doradcą piszącego autora. W teatrze tym są specjalni lektorzy, którzy odczytują i opiniują otrzymane od dramaturga teksty. Dramaturg kieruje w teatrach czechosłowackich i niemieckich całą pracą literacką związaną z przygotowaniem repertuaru. Od jego sprawności zależą kontakty zarówno z autorami, których teatr wokół siebie grupuje, jak i z autorami obcymi. Dramaturg jest człowiekiem równie w teatrze niezbędnym, jak perukarz, czy aktorka do ról naiwnych".

„Po wojnie Leon Schiller założył w Łodzi przy Szkole Aktorskiej, wydział który miał kształcić ludzi mogących spełniać w teatrze funkcję dramaturga, a więc kogoś, kto będąc do tego zawodowo przygotowanym mógłby współdziałać w pracach teatru. Byłam po drugim roku polonistyki w Toruniu, kiedy pod warunkiem, że uzyskam magisterium na polonistyce przyjęto mnie na Wydział Dramatyczny w Łódzkiej Szkole."

„Program naszych studiów ułożony przez Schillera był tak pomyślany, by przyszłego dramaturga przygotować wszechstronnie do pracy w teatrze. Poza szeregiem zajęć teoretycznych mieliśmy wykłady i ćwiczenia razem ze studiującymi reżyserię i wydział aktorski. Uczyliśmy się dykcji, robiliśmy sceny wierszem i prozą. Zdawaliśmy razem z aktorami i reżyserami wszystkie niemal egzaminy i kolokwia. Dramaturg dla Schillera oznaczał kogoś, kto będąc zawodowo związany z teatrem, mając w nim do spełnienia szereg funkcji, współdziała w jego tworzeniu. Poznawaliśmy warsztat aktorski i reżyserski po to, by służyć w naszej późniejszej pracy fachową radą i pomocą zarówno aktorowi jak i rezyserowi. Moją pracą dyplomową było opracowanie reżyserskie egzemplarza sztuki Lope de Vegi „Przez most idź Joanno", którą to sztukę przetłumaczyłam specjalnie w tym celu z hiszpańskiego. Zresztą grano ją potem w moim tłumaczeniu, choć jest to przekład bardzo filologiczny i ma wiele braków".

„Wydział Dramaturgiczny w sumie ukończyło zaledwie chyba 10 osób (przeniesiony do Warszawy wraz z Schillerem, tam został zlikwidowany, z których większość zrobiła potem warsztaty reżyserskie. Ja pozostałam przy zawodzie dramaturga, i miałam jeszcze do niedawna ten uzyskany w schillerowskiej szkole tytuł wpisany do dowodu osobistego. Ponieważ nie napisałam nigdy sama żadnego dramatu, ten mój zawód wywoływał zawsze zdziwienie."

„Pracę zawodową — mówi Irena Bołtuć-Staszewska kierownik literacki Teatru Powszechnego — rozpoczęłam w Teatrze Wrocławskim za dyrekcji Szletyńskiego, blisko przed piętnastu laty. Był to wtedy teatr-gigant, kilkadziesiąt osób zespołu aktorskiego, kilku etatowych reżyserów, trzy sceny.

Jego dumą był Wierciński. Tam wykonywałam przez kilka sezonów dramaturgiczne zadania, według schillerowskich zasad, ucząc się jednocześnie praktycznej wiedzy o teatrze. Uczestniczyłam we wszystkich próbach aż do premiery, prowadząc wspólnie z reżyserem próby analityczne. We Wrocławiu u prof. Mikulskiego złożyłam egzamin magisterski. Napisałam pracę o Apollo Nałęcz-Korzeniowskim. Potem wróciłam do Łodzi, najpierw do Teatru Jaracza, potem mąż objął dyrekcję Teatru Ziemi Łódzkiej, ja rozpoczęłam współpracę z dyrektorem Sykałą".

Irena Bołtuć-Staszewska, radna miejska, członek Komisji Kultury Rady Narodowej, sekretarz Łódzkiego Zarządu Spatifu, matka dwojga dzieci — dziesięcioletniej Ewy i dziewięcioletniego Misia — pierwszego w rodzinie państwa Staszewskich łodzianina, jest tłumaczką wielu znanych w Polsce sztuk czeskich.

„Każdą graną w naszym teatrze sztukę — mówi — przygotowuję. Uczestniczę w próbach do momentu, gdy reżyser zaczyna ustawiać sytuację, potem przychodzę na proby przedpremierowe. Aktorzy chcą wiedzieć zawsze coś o epoce, o autorze, o granej sztuce, muszę przygotować odpowiednie materiały. Kierownik literacki w teatrze broni interesów nieobecnego autora, chyba że autor może bronić się sam, jak p. Zbigniew Nienacki, który uczestniczy teraz w próbach do „Golema". To bardzo interesująca sztuka, wydaje mi się, choć nie chcę zapeszać, ludzie teatru są przesądni, że w reżyserii Sykały, scenografii Stańczaka będzie „Golem" i ciekawym przedstawieniem.

Nienacki łączy w tej sztuce pewne pozory kryminalnej fabuły z bogatą problematyką filozoficzną, teatr połączyć musi weryzm z symultanizmem, dosłowność z umownością. Dla aktorów praca nad tą sztuką jest ciekawym doświadczeniem. W roku 1964 grać będziemy jeszcze „Dziady" Mickiewicza, „Śmierć pułkownika" Mrożka, „Romeo i Julię" Szekspira, „Angelikę" Ferraro.

„Swoją pracę w teatrze — mówi Irena Bołtuć-Staszewska — traktuję tak, jak traktuje się zajęcia zawodowe, a nie jak zajęcia dodatkowe. Jako wykładowca TWP zajmuję się teorią — wykładam historię teatru i dramatu".

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Wszystko o żakach (II)

AKADEMIKI, STOŁÓWKI, STYPENDIA

W zainaugurowanym niedawno bieżącym roku akademickim kadry naukowe wyższych łódzkich uczelni wzięły „w obroty" 10.600 studentów. 50 proc. tej liczby — ponad 5 tysięcy studentów — stanowi młodzież, która pochodzi spoza Łodzi, w przeważającej części z miast i wsi naszego województwa. Przyjezdni studenci mieszkają w „mikromieście" przy ulicy Lumumby oraz w innych domach akademickich.

W 4 domach Uniwersytetu mieszka 740 kobiet i 847 mężczyzn, w 4 domach Politechniki — 540 kobiet i 1.183 mężczyzn (Politechnice przybył kilkanaście dni temu — otwarcie nastąpiło 15 września — nowy dom o 300 miejscach), w 2 domach Akademii Medycznej 749 dziewcząt i 463 chłopców.

Na ul. Ciesielskiej, w pokojach akademika wyższych szkół artystycznych znalazło miejsce 108 młodych aktorów, muzyków, plastyków i filmowców. 50 adeptów sztuki korzysta z gościnności Politechniki Łódzkiej, która dała im pomieszczenia w nowo otwartym domu, mieszczącym się przy Al. Politechniki 5.

Zresztą gościnna jest nie tylko Politechnika. Podobną kurtuazją poszczycić się może Akademia Medyczna. W domach jej znalazło miejsce 300 studentów. Uniwersytetu, który z kolei też udostępnił pokoje w swych akademikach 41 słuchaczom innych uczelni.

Nowy, piękny akademik otrzymała w br. młodzież z zagranicy. Mieści się on przy ul. Kopcińskiego. Jest wyposażony w sale wykładowe i stołówkę, co zapewnia słuchaczom Studium Języków Obcych maksimum wygody i wymarzone wprost warunki do nauki.

Warunki studiów w naszym mieście stają się coraz lepsze zarówno dla studentów polskich jak i zagranicznych, to też z roku na rok rozrasta się akademickie środowisko Łodzi.

Najliczniejsze skupisko studenckie — czterotysięczne mikromiasto przy ul. Lumumby — dzięki inicjatywie Komisji Ekonomicznej ZSP oraz władz miejskich wyposażone zostanie w najbliższym czasie w szereg punktów usługowych, które w poważnym stopniu usamodzielnią je, znakomicie też uzasadnią termin, którym tak odważnie się posłużyłem: „mikromiasto". Powstaną tu punkty — pralni i farbiarni, elektrycznego podnoszenia oczek, krawiecki, poczta z oddziałem PKO, oddział pośrednictwa pracy studenckiej spółdzielni „Puchatek". Jeśli dodać do tego, że w jednym z domów Akademii Medycznej czynny jest bar mleczny, że w pierwszych dniach września oddany został do użytku punkt naprawy obuwia, że na terenie osiedla, znajduje się stadion sportowy, to termin: „mikromiasta" zasłuży na powszechne przyjęcie.

Obok kwestii mieszkaniowej najistotniejszą jest z pewnością sprawa wyżywienia uczącej się w Łodzi młodzieży.

Funkcjonuje na terenie naszego miasta 9 stołówek studenckich, a korzysta z nich aż 5.750 osób. Na ogólną ilość stołówek składają się 3 specjalne: dietetyczna, półsanatoryjna i dla podniebień zagranicznych oraz 6 tzw. zwykłych.

Z głębokim zadowoleniem przyjmą wszyscy zainteresowani zapowiedź otwarcia w 1964 roku nowej stołówki dietetycznej, która definitywnie rozwiąże problem wyżywienia 600 słuchaczy chorych na przewód pokarmowy. W stołówce przy ul. Nawrot 2a jest zaledwie 200 miejsc i od dłuższego czasu wydawanie posiłków chorym nastręcza wiele trudności personelowi jadłodajni, wiele przykrości konsumentom.

Prawie wszyscy korzystający ze stołówek studenci posiadają stypendium stołówkowe. Ceny stypendialnych posiłków są bardzo niskie. Obiad kosztuje 4.30 zł, za śniadanie łącznie z kolacją 4.50 zł. Są także stołówki wydające obiady słuchaczom nie posiadającym stypendium, tych jest jednak niewiele.

I wreszcie same stypendia. 51.5 proc. studiującej młodzieży otrzymuje je, ale tu dochodzą nas słuchy, iż jakkolwiek ogólna ilość stypendiów nie ulegnie zmniejszeniu, przeciwnie — być może powiększy się jeszcze, to jednak zajdą poważne zmiany w procesie przyznawania ich. Już dawno temu utarła się opinia, że stypendia dostaje tylko ta młodzież, której nie mogą w pełni utrzymywać rodzice, która dobrze się zachowuje zarówno na uczelni, jak i poza nią. Wbrew tej opinii niejednokrotnie dochodziło do pomyłek, niejednokrotnie z pomocy korzystały jednostki zupełnie na nią nie zasługujące, i na odwrót — nie otrzymali jej ci, co rzeczywiście dobrze się uczyli, dobrze zachowywali.

Z tych właśnie powodów ma być wprowadzony w życie nowy system opiniowania kandydatów na stypendystów. Dodatkowym czynnikiem opiniującym stanie się grupa ćwiczeniowa, w której ubiegający się o stypendium słuchacz przebywa przecież najczęściej, i która, przez to samo, ma największe możliwości sprawiedliwej oceny jego postępów w nauce, postawy wobec przełożonych i kolegów.

Statystyka wykazuje, że stypendia pobiera 51,5 proc. słuchaczy, prawdę jednak mówiąc otrzymuje je każdy z 10.600, a więc 100 proc. uczącej się w Łodzi młodzieży. Bo przecież bezpłatna jest nauka, bo przecież ulgowe są taryfy na przejazdy pociągami, tramwajami, bo w końcu bezpłatne jest leczenie. Są, mało bezpłatne, przymusowe w dodatku. Wszak warunkiem zaliczenia semestru są — oprócz dobrych ocen z przedmiotów objętych programem nauczania — jeszcze stempelki w indeksie, stwierdzające poddanie się studenta różnym badaniom okresowym: badaniom klatki piersiowej, przeglądowi jamy ustnej itp.

Tak, stypendia dostają wszyscy. Wielka troska o uczącą się młodzież, przeróżne formy w jakich się uzewnętrznia i dociera do najmniejszych nawet komórek akademickiego społeczeństwa, to kredyt całego kraju dla studentów. Pożyczka długoterminowa, ale do zwrotu.

Dalszy ciąg ze str. 1

POLITYCZNE lęki eks-kanclerza ADENAUERA

wydarzeń podporządkowywał swą politykę kanclerz Adenauer?

Pisze o tym w książce p.t. **„Ciężka droga Erharda"** K. H. Flach, jeden z redaktorów „Frankfurter Rundschau". Oto wyimaginowana przez Adenauera sytuacja:

NRF jest jedynym rzecznikiem wszystkich Niemców. Pozostaje ona w sojuszu zachodnim, odgrywając w nim coraz poważniejszą rolę. Jedynym wrogiem Niemiec jest komunizm. Wszędzie — poza strefą jego wpływów — są tylko przyjaciele. Pewnego dnia Zachód zdecyduje o samostanowieniu Niemiec. Wówczas odbędą się wybory w całych Niemczech, w Berlinie zbierze się ogólnoniemieckie zgromadzenie narodowe, podpisany zostanie traktat z byłymi przeciwnikami wojennymi, a jednym z zasadniczych jego postanowień będzie zwrócenie Niemcom terenów za Odrą i Nysą. Wówczas wypędzeni z ojczyzny tułacze powrócą do domu...

Oto jedna część adenauerowskiej bajki. Jako że happy-end nie następował, kanclerz pomyślał i o drugiej części.

Zanim wszystko to się stanie — upłynie trochę czasu. Dziś bowiem sytuacja jest inna. Rosjanie marzą, by stanąć nad Renem. Przeszkadza im w tym jednak nasza siła. Ona to i nasze zdecydowanie tak scementują Zachód, że któregoś dnia zjednoczenie stanie się faktem...

No cóż, pofantazjować można. Mógłby budzić świat wyobraźni i Adenauer, gdy by swoją baśń jak baśń traktował. Kiedy jednak czynił z niej kierunek polityczny, kiedy snem zastępował rzeczywistość — można to tylko uznać jako objaw schizofrenii.

Adenauer odszedł. Czy myślicie jednak, że wybiera się na polityczną emeryturę? Że spokojnie dożywać będzie swych dni w podbońskiej Rhoedorf, gdzie posiada własny domek?

Skądże! Tytuł kanclerza został przekazany, ale pełny złudzeń starzec zamierza nadal pociągać za sznurki, chce „radą i czynem" wspierać rząd Ludwiga Erharda — swego następcy, dla którego zresztą — jak stwierdza „Daily Telegraf" — „pełen jest nieukrywanej pogardy"; chce pilnie baczyć, by nowy sternik bońskiego gabinetu nic nie zboczył ze sztywnego kursu, tak mozolnie w ciągu długich czternastu lat wypracowanego.

Czy taka obawa istnieje?

CDU w dniu przekazywania władzy opublikowała specjalny komunikat, w którym widząc w Erhardzie „godnego następcę" stwierdza, że **będzie on kontynuował „historyczne dzieło Konrada Adenauera".** Również skład rządu oraz deklaracja rządowa nowego kanclerza z ub. tygodnia nie wydają się wskazywać, by nastąpiła jakaś zasadnicza zmiana w polityce Bonn. Czego więc lęka się Adenauer?

Obawia się nie zmian merytorycznych, ale nieco innej tonacji, innego rozłożenia akcentów, a zatem tego wszystkiego, co mogłoby chociażby stwarzać pozory uelastycznienia polityki Bonn.

Erhard przejmuje po starym kanclerzu niezwykle trudną spuściznę tak w zakresie spraw wewnętrznych (państwo obciążone jest aferami, systematycznie spada zaufanie do instytucji, wzmaga się nacisk na rozwiązanie spraw socjalnych i problemów rolnych), jak i międzynarodowych (polityka odprężeniowa w stosunkach Wschód—Zachód a postawa Bonn). Czasu zaś do wykazania, że zdolny jest rozstrzygnąć którykolwiek z problemów, niewiele. Dokładnie za dwa lata odbędą się przecież wybory do parlamentu, a atmosfera wyborczych rozważań nie sprzyja podejmowaniu decyzji.

Gdyby zresztą rzecz sprowadzała się tylko do sytuacji wewnętrznej! Tutaj Erhard rozreklamowany jako „ojciec" zachodnioniemieckiego „cudu gospodarczego" korzysta z pewnego kredytu zaufania. Gorzej, że trzeba umiejętnie omijać takie rafy, pozostawione przez Adenauera, jak „orientacja francuska", czy też „amerykańska". Manipulowanie między nimi wymaga doświadczenia politycznego, którego Erhard nie ma. Trudności powiększa jeszcze fakt, że jak pisze „Frankfurter neue Presse" — „USA oczekują od nowego kanclerza... pomocy przeciwko de Gaulle'owi".

Z wszystkich tych zawiłości zdaje sobie sprawę 87-letni eks-kanclerz. Wie, że **Erhard mógłby osiągnąć wiele nawet nieznacznym uelastycznieniem polityki.** I to właśnie spędza mu sen z powiek. Zamierza więc pozostawać blisko Erharda, jak cień towarzyszyć mu i stąd nadal żeglować bońską polityką utartym szlakiem. Stary kanclerz nie wziął jednak pod uwagę, że kierunek wiatrów ostatnio się zmienił.

WIESŁAW BEK

ZESZYTY PRASOZNAWCZE

Już czwarty rok Krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych publikuje niezmiernie interesujące materiały zawarte w kwartalnikach, które początkowo nosiły nazwę „Prasa współczesna i dawna" a już od jakiegoś czasu tytułowane są „Zeszytami prasoznawczymi".

To właśnie w „Zeszytach prasoznawczych" prezes RSW „Prasa" Mieczysław Zawadka publikował ciekawy szkic pt. „Prasa Polski Ludowej". Czytelnika łódzkiego niewątpliwie zainteresują informacje dotyczące naszego regionu a odnoszące się do lat 1944—45. Otóż jak z zestawienia wynika, ukazywało się wówczas w Łodzi 5 dzienników i 37 czasopism. Nic dziwnego, był to wszakże czas, kiedy nasze miasto pełniło nieoficjalną funkcję stolicy Polski. Zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy szkicu Mieczysława Zawadki i prześledźmy jak wyglądają nakłady gazet w latach późniejszych. Pod tym względem w roku 1958 województwo łódzkie znajduje się na czwartym miejscu w Polsce mając łączny nakład dzienników 101 milionów 401 tysięcy egzemplarzy. W tym samym roku 1958 na jednego mieszkańca województwa łódzkiego wypadają 44 egzemplarze gazet codziennych i 14 czasopism rocznie. Ciekawe jest także porównanie czytelnictwa na wsi i w mieście. Na jednego mieszkańca miasta w województwie łódzkim przypada zatem 77,9 egzemplarza a na mieszkańca wsi 17,9 egzemplarza.

Ostatnio otrzymaliśmy nowy podwójny numer „Zeszytów prasoznawczych". Znajdziemy w nim przede wszystkim bardzo ciekawy materiał analityczny Władysława Kwaśniewicza pt. „Rodzina nowohucka jako odbiorca prasy" — relacjonujący w sposób udokumentowany naukowo problem czytelnictwa w tak specyficznej i złożonej społeczności jaką jest społeczność Nowej Huty. Publikacja oparta została o materiały badawcze nieżyjącego socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego Władysława Kobylańskiego.

Zeszyt zawiera ponadto ciekawy dział „Prasa na świecie" oraz bogate „Recenzje, omówienia, noty" a wśród tych ostatnich informacje o ankiecie na temat czytelnictwa prasy i korzystania z audycji PR i TV, jaką aktyw kulturalny zakładów im. Marchlewskiego przeprowadził wśród swoich robotników. Wyniki owej ankiety omawiał w swoim czasie łódzki „Głos Robotniczy" w artykule niżej podpisanego.

No i wreszcie na koniec gratka nie lada, i to nie tylko dla specjalistów. Melchior Wańkowicz, nestor polskich reporterów i jego znakomity szkic „Drogami polskiego reportażu". „Zeszyty prasoznawcze" z uwagi na swój specjalny charakter mają niewielki nakład — 500 egzemplarzy. Szkoda więc, że publikacji Wańkowicza nie udostępniono czytelnikom „normalnej" prasy. Szkoda również, że „Zeszyty prasoznawcze" ukazują się tak nieregularnie i ci, których problemy prasy szczególnie interesują, nie zawsze dotrzeć mogą do tych naprawdę atrakcyjnych i cennych poznawczo publikacji.

JERZY WILMAŃSKI

MARIA KORNATOWSKA

O NOWYM FILMIE WŁOSKIM

Filmowy rok 1963 upłynął pod znakiem absolutnej przewagi kinematografii włoskiej, która święciła nieprzerwane triumfy we wszystkich festiwalach i na wszystkich ekranach świata. Główne nagrody wielkich festiwali europejskich od Cannes przez Moskwę do Wenecji dostały się Włochom, nie mówiąc już o wielu pomniejszych. Dwa wielkie w zamierzeniach i realizacji dzieła: „Lampart" Viscontiego i „Osiem i pół" Felliniego stały się właściwie najpoważniejszymi wydarzeniami filmowego sezonu. A inne? Świetny film Nanni Loy „Cztery dni w Neapolu", „Proces w Weronie" Lizzaniego, „Ręce nad miastem" Francesco Rosi, nowy film Zurliniego — „Dziennik osobisty"...

Donosiliśmy już kiedyś naszym czytelnikom o tej, od kilku lat trwającej ofensywie, jeśli wolno użyć podobnego sformułowania, w tak subtelnej jak sztuka, nawet filmowa dziedzinie, kinematografii słonecznej Italii. W nowym filmie włoskim zdumiewa przede wszystkim bogactwo indywidualności i kierunków oraz fakt wiecznej, zdałoby się, młodości wielu starych reżyserów, którzy gdzie indziej dawno przeszliby na zasłużoną emeryturę klasyków. Chociażby taki rutyniarz i typowo komercjalny twórca jak Comencini, który robi nagle dwa interesujące dzieła — znakomity film „Wszyscy do domu" i bardzo ciekawie zapowiadającą się „Dziewczynę Bube". A zawsze dotrzymujący młodym kroku Lattuada — reagujący na wszystkie nowe prądy i „fale" w kinematografii?

O ile we Francji stara gwardia załamała się całkowicie — średnie pokolenie przeżywa wyraźny kryzys, to w rydwan sukcesów włoskiego filmu wprzęgnięte zostały wszystkie trzy pokolenia realizatorów. Największym, najczystszym blaskiem jaśnieją oczywiście nazwiska trzech wielkich mistrzów: Antonioniego, Felliniego i Viscontiego. Nieco bardziej w cieniu kryje się Rossellini — twórca bardzo utalentowany ale i bardzo nierówny. Każdy z filmów tej trójki staje się wydarzeniem artystycznym, budzi spory i polemiki, fale zachwytów i protestów. Są to nazwiska stanowiące już niewątpliwie jakieś rozdziały w światowej historii sztuki filmowej. Ich oryginalność i indywidualność wymyka się jednak wszelkim klasyfikacjom i zaszufladkowywaniu.

Bardzo znamienna jest dla Włoch ogromna ilość debiutów. Nawet jeśli wiele z nich nosi na sobie znamiona amatorszczyzny, epigoństwa, w stosunku do mistrzów (a zwłaszcza Antonioniego), a także pewnego manieryzmu, tak charakterystycznego dla francuskiej „nowej fali", od której jednak nowy film włoski różni się zasadniczo, to świadczy to o bardzo poważnym zainteresowaniu filmem jako środkiem artystycznego wypowiadania się. Tym bardziej, że wśród debiutantów i najmłodszych nazwisk włoskiego filmu figuruje wielu ludzi pióra, że wspomnę tylko Pasoliniego, Patroni-Griffi, Baldiego. We Włoszech zawsze istniała dążność do ścisłego włączania, niejako integrowania spraw filmu w całokształt kultury narodowej. Stworzyło to warunki sprzyjające rozwojowi bogatej kultury filmowej w tym kraju i rozkwitowi estetyki filmowej i nauk filmologicznych. Fakt ten z kolei znacznie podniósł rangę sztuki filmowej w oczach społeczeństwa i w sferach intelektualno - artystycznych.

We współczesnym filmie włoskim, obok wspomnianych już „mistrzów" na największą uwagę z całą pewnością zasługuje tzw. nurt zaangażowany. Reprezentuje on dużą skalę zainteresowań i indywidualności od „Rozwodu po włosku" P. Germi, „Długiej nocy 43 roku" Vancinego i najnowszych „Rąk nad miastem" F. Rosi. Nurt zaangażowany ma kilka swoich zasadniczych odgałęzień. Pierwsze z nich to odgałęzienie — nazwijmy je terminem zapożyczonym z rodzimego słownictwa — rozrachunkowe. Chodzi tu po prostu o pewien rozrachunek z postawą moralną społeczeństwa włoskiego w okresie faszyzmu, o podważenie pewnych mitów narodowych. O ile u nas nader, jak się zdaje skutecznie, tępi się wrodzone ponoć Polakom umiłowanie heroizmu, to we Włoszech, wręcz przeciwnie, zarzuca się brak postawy heroicznej, brak chęci czynnego przeciwstawienia się złu społecznemu, a więc także faszyzmowi. Pod pręgierzem oskarżenia staje tu całe społeczeństwo, które swą biernością, krótkowidztwem, konformizmem uczyniło się współodpowiedzialne za zwycięstwo faszyzmu w kraju i za jego tragiczne skutki. Co gorsza, wskazują filmowcy włoscy, społeczeństwo nie wyciągnęło żadnych wniosków z ponurych lat panowania Mussoliniego i lat wojny. Nic się właściwie nie zmieniło: mordercy, tchórze, kolaboranci, są wśród nas, zajmują odpowiedzialne stanowiska. Do nich należy władza i pieniądze. Oto w znacznym uproszczeniu myśl przewodnia, powtarzająca się w różnych wariantach w wielu filmach: w „Długiej nocy 43 roku", „Wszyscy do domu", w „Ciężkim życiu", w „Procesie w Weronie" itd. Są to filmy o charakterze pozornie historycznym, ostrze ich bowiem godzi we współczesność, w sprawy wciąż jeszcze aktualne. I właśnie w owym mądrym budzeniu poczucia moralnej odpowiedzialności każdego człowieka za swój własny los i los swojego narodu — tkwi chyba ich największa wartość i zasługa. Znakomitym przykładem drapieżnie przeprowadzonej analizy postaw moralnych i ich konsekwencji, rzuconej na kanwę historii Włoch (od lat wojny do dni ostatnich) jest film Dino Risi „Ciężkie życie". Podobnie jak nasze „Zezowate szczęście" opowieść o człowieczku zaplątanym w miażdżące, absurdalne tryby historii narodowej i zbierającym od niej niezłe cięgi, ale o człowieczku, który w ostatecznym rachunku pragnie zachować twarz i pozostać wierny samemu sobie, Risi nie szczędzi ostrych kresek rysując obraz współczesnych Włoch. Nie jest zresztą w tym względzie odosobniony.

I tu dotykamy innego rozgałęzienia filmu zaangażowanego, rozgałęzienia atakującego zło toczące system polityczny i ekonomiczny kraju. I znów można przytaczać mnóstwo tytułów: „Salvatore Giuliano" F. Rosi — najwybitniejsze z serii dzieł poświęconych mafii sycylijskiej, „Ręce nad miastem" tegoż reżysera — jeden z najzjadliwszych filmów godzących w afery gospodarcze, w sam mechanizm ekonomiczno - polityczny umożliwiający ich powstawanie, i w chroniące go i korzystające zeń zaplecze polityczne. W filmach tego rodzaju podziw budzi niezwykła umiejętność przeprowadzania wnikliwej i bynajmniej nieschematycznej ani uproszczonej analizy społecznej. I ich ogromna dojrzałość także i natury artystycznej, w tym względzie Włosi daleko odbiegają od bardzo często, czysto formalnych poszukiwań francuskiej nowej fali. I humanizm — wielkie dziedzictwo neorealizmu. Oszczędność, prostota, niemal kronikalny, a przecież nie pozbawiony ironii charakter — oto cechy stylu wypracowanego przez filmowców włoskich, stylu znakomicie przystającego do kierunku ich zainteresowań treściowych.

W artykule poświęconym włoskiemu filmowi nie sposób nie wspomnieć o świetnym „Rozwodzie po włosku". Kapitalny to przykład poszukiwania nowych dróg twórczej inspiracji u niemłodego już bądź co bądź artysty. No i nowy kierunek uderzenia: sprawy anachronizmu pewnych układów obyczajowo - moralnych zakorzenionych jeszcze w społeczeństwie i co gorsza utwierdzonych literą prawa. Ten film — pamflet, iskrzący się dowcipem i zjadliwą ironią świadczy chyba najlepiej o tym, że zaangażowanie nie musi iść w parze ze schematyzmem, nudą i tanim moralizatorstwem. Właśnie umiejętność ustrzeżenia się od natrętnej dydaktyki, pozostawienie widzowi pełnej swobody własnej oceny i wyciągnięcia własnych wniosków stanowi jedną z głównych zalet współczesnego, włoskiego filmu, filmu walczącego o nonkonformistyczną postawę moralna człowieka — nie śrubki w mechanizmie dziejów — ale istoty współtworzącej i współodpowiedzialnej przed sobą i innymi.

MIESZANKA FILMOWA

Jean Marais — popularny aktor francuski

EWA NURCZYŃSKA

Po VIII zjeździe FEDERACJI DKF

Od kilku lat w okresie obrad Ogólnopolskiego Zjazdu Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych staramy się podsumować pracę i działalność istniejących w Polsce klubów.

By zdać sobie sprawę z dorobku kulturalnego DKF, trzeba sobie uświadomić, że działalność klubów sięga już ośmioletniej tradycji. Osiem lat istnienia i kulturotwórczego oddziaływania na tysiące członków DKF, to niemałe choć statystycznie obliczalne osiągnięcia. Zrozumieć sens działalności klubów filmowych można wówczas, gdy uświadomi się sobie pewne fakty i cyfry: — cztery razy w miesiącu w salach projekcyjnych DKF spotyka się na wieczornych seansach około 50 tys. członków ze 162 klubów.

Z założeń programowych DKF wiemy, że spotkania te nie ograniczają się do wspólnego, towarzyskiego oglądania wybranych filmów, że dopiero wstępna prelekcja i dyskusja nad obejrzanym filmem tworzyć mają pełne zajęcia klubowe. Wiele słów przelano na papier udowadniając, że często DKF stają się „krypto-kinami", że z ich pełnej nazwy winno się usunąć słowo „dyskusyjny". I istotnie powyższy zarzut należy do najpoważniejszych, jakie można postawić klubom.

Spróbujemy znaleźć odpowiedź na pytanie dlaczego tak się dzieje? DKF to nie tylko miejsce miłego, atrakcyjnego „rendez-vous" z X Muzą, to także ambitna, choć popularna szkoła patrzenia na film. DKF wychowują widzów, którzy zapełniają kina na seansach „Dziesięciu dni jednego roku", „Viridiany" i „Milczenia" i są częstymi gośćmi kin studyjnych. Ta rola DKF jest niezaprzeczalna nawet wówczas, gdy zarzuty, o których mowa wyżej, są sprawdzalne.

Nawet największy przeciwnik stosowania wobec klubów filmowych „taryfy ulgowej" musi się zastanowić nad ich obecną sytuacją, którą określić można za więcej niż fatalną. Kiedy się uczestniczy w zjeździe, który sumuje osiem lat pracy Federacji i po raz nie wiem który z kolei słyszy, że należy walczyć o to, by CWF nie ograniczała możliwości repertuarowych klubów, by polskie filmy trafiały do klubów przed oficjalną premierą itd. itd., to ogarnia człowieka przerażenie. Czy jest możliwe, by przez osiem lat nie udało się Federacji DKF przekonać wyższych instancji, że „film to, najważniejsza ze sztuk". Trudno uwierzyć, że rozumie się w Polsce i ceni działalność DKF, skoro wydaje się zarządzenia odbierające im rację bytu. Skąd klub filmowy ma wziąć swoje 40 filmów rocznie? Centralne Archiwum Filmowe, które swymi pozycjami z klasyki filmowej tworzyło znaczny procent pozycji repertuarowych DKF, wycofało z obiegu ogromną ilość tytułów, ze względu na łatwopalność taśmy, na której te filmy się znajdują. CWF, która przed kilku laty podjęła się sprowadzania około 20 filmów rocznie wyłącznie do „puli specjalnej" DKF, obecnie wycofała się z tego przedsięwzięcia zupełnie. Dopiero interwencja Prezydium Federacji u ministra Zaorskiego wpłynęła na to, że do „puli specjalnej" wpływać będą trzy — cztery tytuły rocznie. To oczywiście niewiele, ale lepiej tyle niż wcale.

Trudno również uznać, że ilość filmów „przedpremierowych" jest wystarczająca. Wyznacza się w miesiącu 3—4 tytuły do wcześniejszego grania ich w klubach, ale tylko w 1963 r. w miesiącach: kwietniu, maju i wrześniu, przeznaczono dla DKF tylko jeden film. Trzeba również zaznaczyć, że filmy te uzyskiwane są drogą długich, najeżonych kłopotami pertraktacji.

Pomysł oparcia repertuaru klubów głównie na tzw. filmach „powtórkowych" wydaje się jakimś absurdem, zważywszy na fakt, że członkowie DKF to ludzie, którzy interesują się kinem nie od dziś.

Zupełnie nieprawdopodobną historię stanowi zakaz pokazywania w klubach polskich filmów przedpremierowych. Utyskuje się, że polski film nie ma najłatwiejszej drogi przez polskie ekrany. Czemu więc nie traktuje się członków klubów jako tych, którzy mogą uczynić np. „Milczeniu", K. Kutza dobrą reklamę w Polsce? A może by tak zrobić eksperyment; w jednej ekspozyturze CWF puścić „trudny" film po uprzednim wyświetleniu go w klubach, w innej bezpośrednio od razu w kinach. Można podejrzewać, że na tych poprzedzonych klubową reklamą seansach będzie frekwencja większa. Zatem strata widzów w kinach na skutek odciągania ich do klubów jest tylko stratą pozorną?

Spotkanie realizatora filmowego z widzem może się odbyć w zasadzie głównie w klubie. Tam jest miejsce na rzeczową dyskusję. Do tych spotkań dochodzi jednak rzadko. Co jest tego przyczyną? — Czy lęk twórcy przed bezpośrednią konfrontacją filmu z widzem, czy jedynie nie przemyślane zarządzenie z czyjegoś biurka? Gdy rozpatruje się wszystkie okoliczności, w których pracują dziś DKF, trudno się dziwić, że można ich działalności postawić tak wiele zarzutów.

W latach 1962/63 zlikwidowano 57 klubów filmowych. Przyczyn odpływu członków szukać można w wielu źródłach, ale przede wszystkim znajdziemy je w niedostatkach repertuarowych filmów dla DKF. Kluby kończą swe istnienie często z finansowych względów — ceny za wynajem filmów i sal kinowych są zbyt wysokie. A przecież żyjemy w kraju, gdzie rok w rok miliony złotych dopłaca się do różnego rodzaju przedsięwzięć kulturalnych. Czemu nie dopłaca się do akcji propagowania kultury filmowej? Czemu wszystkie akcje i postulaty Federacji DKF przelicza się na konto — opłaci się czy nie opłaci, biorąc oczywiście pod uwagę korzyści finansowe a nie społeczno-kulturalne?

Federacja od trzech z górą lat żyje sprawą, na której temat zapisano wiele papieru (oczywiście głównie w prasie) — mowa o problemie filmu w szkole. Mimo, że wydaje się, iż nie trzeba już dzisiaj prowadzić w Polsce akcji uświadamiającej funkcję filmu jako środka dydaktycznego i wykonawczego, to jednak wiele wysiłków Federacji niewiele w tej sprawie zmieniło.

Współpraca Federacji z Ministerstwem Oświaty i Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, doprowadziła wprawdzie do organizacji kilku kursów filmowych dla nauczycieli, jednak efekty tych przedsięwzięć niełatwo dostrzec. Składa się na to wiele przyczyn. Między innymi to, że nie przemyślano chyba dokładnie sprawy rekrutacji uczestników tych kursów. Zważywszy na to, że w większości wypadków sprawa sposobu wykorzystywania filmu szkolnego czy oświatowego nie jest centralnym problemem tych kursów, że w ich toku organizatorzy demonstrują słuchaczom film przede wszystkim jako samoistne dzieło sztuki, uczestnikami tych kursów winni być przede wszystkim nauczyciele — humaniści. Poloniści i historycy to ludzie, którzy mogą zbliżyć film — dzieło sztuki do młodzieży, mogą film wykorzystać do rozwijania humanistycznych umiejętności swych uczniów; kształcić ich smak estetyczny, oddziaływać na nich pod względem wychowawczym.

Wydaje się, że Federacja w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty i ZNP powinna zwrócić większą uwagę nie na proces szerzenia kultury filmowej wśród stale zmieniających się na kursach grup nauczycieli, lecz w ciągu powiedzmy dwu lat przygotowywać stałą grupę pedagogów, na której można by oprzeć pracę młodzieżowych DKF i pracę z filmem w klasie. Akcję powszechnego zbliżania filmu do nauczycieli, winny przejąć DKF i włączać w szeregi swych członków właśnie nauczycieli. Czemu w Polsce tak mało nauczycielskich DKF.

Wydaje się, że organizatorzy zgubili jakoś ludzi, którzy byli uczestnikami kursów, że ich w Polsce nie widzi. Nauczyciele pozostawieni po dwutygodniowym kursie sami sobie, bez fachowej opieki działaczy DKF, bez ośrodków metodycznych, bez podręczników — nie podejmą pracy, na którą się tak liczy. Nie na tym kończą się jednak kłopoty filmu w szkole. Jeśli nawet jest ktoś, kto ze względu na znajomość problemu, mógłby zająć się tą pracą, napotyka tyle organizacyjnych i finansowych przeszkód, że najczęściej musi zrezygnować ze swych ambicji. Wyłaniają się przy tym problemy repertuarowe nie mniejsze niż w klubach dla dorosłych. Wprawdzie kluby młodzieżowe mogłyby bazować głównie na filmach „powtórkowych", to jednak trzeba wziąć pod uwagę fakt, że posiadają one przede wszystkim projektory na taśmę 16 mm a wówczas filmów tych wystarcza mniej więcej na 2 lata działalności. Kilkuletnia batalia Federacji DKF, o to, by stworzyć pule filmów przeznaczonych dla szkół na ra[illegible]zie nie daje rezultatów. A przecież od porozumienia Ministerstwa Oświaty i Ministerstwa Kultury zależy chyba stworzenie np. przy „Filmosie" filmoteki szkolnej, w skład której wchodziłoby trochę pozycji z klasyki filmowej, filmy związane z lekturą szkolną, wreszcie grupa filmów o dużych walorach wychowawczych. Od decyzji Ministerstwa Oświaty zależy wykorzystanie ludzi opuszczających Zakład Wiedzy o filmie UŁ.

Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych dokonała pionierskich działań w walce o film w szkole, nadeszła chyba pora, by odpowiednio zainteresowane instytucje podjęły decyzje, które posunęłyby sprawę poza krąg wstępnych poczynań.

Tegoroczny artykuł o klubach filmowych najeżony jest większą ilością pytań i wątpliwości niż w latach ubiegłych. Zawarto w nim mniej niż zwykle zarzutów pod adresem DKF — nie pytano o prelekcje, prelegentów i dyskusje. Pisząc artykuł starano się dostrzec te problemy z działalności Federacji, które leżą u źródeł jej egzystencji. Jeżeli bowiem te sprawy, o których była mowa nie zostaną uregulowane, trudno jest stawiać zarzuty — kluby filmowe zawsze się wytłumaczą. Prawdziwa troska władz kulturalnych o te placówki rozpowszechniania kultury pociągnie za sobą troskę o ich istotnie wysoki poziom działania.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Literatura bez DZIEJOPISA

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, ur. 1920.

Prace wydane: *Dyplom* (opowiadanie) Warszawa 1952, *Nauczyciele na wsi* (reportaże) Warszawa 1955, *W powiatowej Polsce* (opowiadania), Warszawa 1956, *Okolica starszego kolegi* (powieść) Łódź 1960, *Umarli nie składają zeznań* (opowiadania) Łódź 1961, *Nie ma powrotu* (powieść) Łódź 1963.

Zbliżam się do końca następnej powieści.

Powojenne dzieje łódzkiego środowiska literackiego, czy w szerszym znaczeniu — środowiska piszących, jak dotąd daremnie czekają na swojego dziejopisa. To duża szkoda, ulatują w cień ważne wydarzenia literackie, zapominamy o świetnych książkach, które właśnie tu, pod zadymionym niebem zostały napisane, przepada często bezpowrotnie pyszna anegdota, właśnie ta najlepsza, którą rodzi konkretna sytuacja, słabną echa pasjonujących sporów literackich z lat wcześniejszych. A my, tu w Łodzi, jak na złość, nie mamy swojego literackiego historyka. Niechby już był na początek ktoś tak skrzętny jak Stolarzewicz, marksistowski oczywiście, potem by już jakoś poszło. Nie jestem jednak pewien, czy jest w naszym mieście choć jeden zapaleniec, który gromadzi skrzętnie materiały do łódzkiego dwudziestolecia pisarskiego.

W tej sytuacji jesteśmy skazani na odgłosową ankietę i musimy wierzyć, że przyniesie ona niemało cennych spostrzeżeń. Wierzymy tym chętniej, że już pierwsze głosy okazały się poznawczo wcale interesujące.

Co do samej ankiety. O żadnym środowisku, o żadnym dorobku twórczym, nie można mówić inaczej jak tylko historycznie. Ostatnie lata, o które redakcja specjalnie pyta, choć z pewnością najbardziej autentyczne, nie spadły z nieba, w dziejach środowiska nie może być mowy o jakimś samorództwie, wszystko jest tu procesem, rozwojem, czegoś nie było a jest, czegoś już nie ma, a było. Moje pokolenie tzw. średniaków (mowa o wieku, a nie poziomie twórczości, proszę nie mylić), które osiadło tu przed dziewiętnastu laty, obserwowało ze specjalnych pozycji zaczątki życia literackiego w naszym mieście, mianowicie z pozycji „fuksów". Pamiętam, że trzęsłem portkami ze stracha, jak przynosiłem Annie Kamieńskiej pierwsze swoje opowiadanie, niesłychanie postępowe, zachwalające elektryfikację wsi, Jerzy Miller już wtedy doskonalił się w trudnej sztuce pisania dobrych wierszy oraz wyciągania zaliczek i pożyczek. Żeby oddać — trzeba pożyczyć, żeby pożyczyć — trzeba oddać. Wielu z nas powtarzało tę prawdę.

Myślę, że w tamtych latach, pewien zresztą tego jestem, Łódź literacka jak księżyc świeciła nie swoim blaskiem, Łódź jako doświadczenie dla pisarzy prawie nie istniała, choć przysiedli tu na walizkach pierwsi w kraju pisarze. Istniało jednak dla nich bolesne doświadczenie wojny, istniała potrzeba wielkich sporów o przyszłość, ideowy kierunek naszej literatury, czy w szerszym znaczeniu — kultury polskiej. Środowisko najbardziej chyba reprezentatywne dla całego kraju nie mogło szukać źródeł inspiracji w jakichś czysto lokalnych zjawiskach. Wtedy chodziło o określenie nie tylko roli literatury, czy pisarza w nowej Polsce, lecz roli inteligencji twórczej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Byliśmy przecież nie tylko po wojnie, ale i po rewolucji socjalnej, zaczynało się życie w kraju demokratycznym, ludowym, dojrzewały coraz wyraźniej przesłanki socjalizmu.

Stąd właśnie namiętne spory toczone na łamach „Kuźnicy", także i „Wsi". Walczono z „Tygodnikiem Powszechnym", atakowano poglądy księdza Piwowarczyka, prof. Chałasiński przedstawiał pierwszą bodaj po wojnie rewizję poglądów na rodowody i rolę polskiej inteligencji, polemizował z nim wytrawny krytyk literacki prof. Stefan Żółkiewski, polemizował prof. Schaff. Równocześnie po raz pierwszy próbowano z pozycji marksistowskich przewartościować tradycje naszego i europejskiego realizmu, że przypomnę Kotta, Żmigrodzką, Janion, Drewnowskiego, Kiwiszę, Budreckiego i innych.

Mniejsza zresztą o szczegóły. Wiadomo, wychodziły znane książki Brandysa, Kotta, Ważyka, Huszczy, Nałkowskiej, Gojawiczyńskiej, Szmaglewskiej, Piętaka, Czernika, Herza, Piechala, Brzechwy, wymieniam tylko część nazwisk, wcale nie hierarchizując i nie trzymając się alfabetu. Chodzi mi jednak o coś niezmiernie charakterystycznego, co moim zdaniem, musi zawsze towarzyszyć środowisku pisarzy, jeśli ma być ono płodne, żywe i odkrywcze. Obok pisarza występował zawsze krytyk, profesor — publicysta, nie istniało po prostu jakieś odrębne, wyizolowane getto literatów. Pewnie, mieli swój klub Pickwicka, mieli swoją „Fraszkę", pożyczali — jak pisze dowcipnie Huszcza — pieniądze na piętrach, w królestwie Jerzego Borejszy, a wydawali na parterze domu przy ulicy Piotrkowskiej 96, albo jeszcze niżej, w piwnicy dobrze zaopatrzonej w spirytualia. Lecz to były tylko pozory getta, w gruncie rzeczy łódzki, a raczej mieszkający w Łodzi pisarz, występował wspólnie z uniwersyteckim profesorem polonistą, socjologiem, filozofem, krytykiem. I tylko, jak sądzę, w takich warunkach może działać ambitne i prężne środowisko.

Odleciały wędrowne ptaki. To naturalne. Stolica przyciąga jak magnes, większość zresztą pisarzy już wcześniej związana była z Warszawą. Środowisko, liczące prawie stu pisarzy zaczęło się gwałtownie kurczyć, był czas, że spadło do trzydziestu literatów, wyemigrowały pisma, na wydawnictwo wcale się nie zanosiło. Zanosiło się raczej na powrót do dużego, lecz w gruncie rzeczy prowincjonalnego miasta przynajmniej w dziedzinie kultury.

Stało się wszakże inaczej. Miarą kulturotwórczych możliwości miasta jest także stałe pojawianie się nowych nazwisk w literaturze, ale nazwisk wyrastających w konkretnym klimacie tego miasta. Od dziesięciu lat obserwujemy ten korzystny i wyraźny proces, Łódzki Oddział Związku Literatów powiększa się z roku na rok, przybywa utalentowana młodzież.

Nie będę wymieniał tytułów książek, nie będę mówił o wszechstronności zainteresowań naszego środowiska, mamy różnorodne poetyki, rozmaite koncepcje człowieka w prozie, mamy dobrą satyrę. Zapewne, warto by się pokusić o jakąś generalną ocenę dorobku łódzkich pisarzy w ostatnich latach. Sądzę, że krytyk miałby duże pole do popisu, ale my wciąż nie mamy takiego krytyka. Ten fakt wydaje mi się ogromnie charakterystyczny i niepokojący. W odróżnieniu od pisarzy warszawskich, czy krakowskich, nasz łódzki kolega po piórze zdany jest często, chociaż nie zawsze, na oceny przygodnych recenzentów, lub — co gorsza — wcale nie jest recenzowany. Krytyka, rzeczowa recenzja, poważniejsze rozważania o literaturze — przedstawiają się u nas bardzo słabiutko. Wystarczy tylko przejrzeć naszą prasę. Pewien wyjątek stanowią „Odgłosy" lecz przecież nie jest to wyjątek tak bardzo znakomity.

Paradoks polega na tym, że z jednej strony rośnie środowisko literackie, przybywa talentów i przybywa interesujących książek, ale pełnej atmosfery literackiej jeszcze nie mamy. Brak sporów, dyskusji, przestali pojawiać się zdolni poloniści, zamilkli profesorowie, może zresztą i nie zamilkli, może to jest po prostu kwestia wadliwej organizacji życia literackiego w Łodzi.

Paradoks i na tym również polega, że tak, na oko, można by sądzić o jakimś getcie literackim w Łodzi, o jakimś zamknięciu czy oderwaniu. Jest akurat przeciwnie. Jeżeli poza „Odgłosami" mało widać pisarzy w naszej prasie, to dzieje się tak z pewnością nie wskutek ich niechęci do pisania, czy drukowania. Ten niedostatek druku kompensowany jest swoistą publicystyką mówioną. Literaci prowadzą interesujący klub dyskusyjny, który jak wiadomo, skupia przedstawicieli różnych środowisk, m. in. uniwersyteckiego. Ten niedostatek kompensowany jest także niezwykle interesującą działalnością społeczną i akcją spotkań z czytelnikami. Wspominam o tym z dwóch powodów. Chcę mianowicie zauważyć ów wyraźny proces uspołecznienia łódzkiego środowiska literackiego, to je zresztą wyróżnia spośród innych w kraju. A po drugie chcę odpowiedzieć na pytanie ankiety dotyczące roli pisarza w naszym mieście. Nie ma, jak sądzę, żadnego powodu, aby opierać się o to czy pisarz ma być łódzki, ludzki czy też ogólnonarodowy. Gomolickiemu wcale nie zaszkodził temat łódzki, ani Wł. Rymkiewiczowi, więc chyba dobrze się dzieje, że część pisarzy, zajmuje się tematem łódzkim, lecz warunku pisania o Łodzi nikt nie stawia i postawić nie może. Trzeba natomiast starać się o to, aby książka była najzwyczajniej pod słońcem dobra. To jest główne zadanie pisarza. Inne zadania? No, przecież znakomita część pisarzy pracuje w rozmaitych redakcjach, teatrach, bibliotekach itp. Jeżeli tak, to spełnia ją oni rolę pracowników tzw. frontu kultury. Część pisarzy zasiada w rozmaitych komisjach, pomaga więc bezinteresownie w rozwiązywaniu konkretnych spraw, duża wreszcie grupa idzie w gąszcz życia społecznego, do zakładów pracy, bibliotek, szkół, świetlic, spotyka się i mówi do ludzi z małych osiedli, wsi, ożywia słowem senne partykularze. Sądzę, że tyle wystarczy.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

PROUST PO POLSKU

Leon Gomolicki

Panta rei, rzekł ongi i nie bez racji znakomity filozof. Trudno stwierdzić z całą pewnością, czy powiedzenie to stanowiło oficjalny początek czasologii. Faktem jest natomiast, że stanowi ono coraz bardziej omen naszej powieści.

Po retrospekcji ukonkretnionej (czas wojny) przyszła kolej na retrospekcję mniej lub więcej uniwersalizującą. Powieść Gomolickiego, ulegając powszechnej tendencji, nosi wyraźnie cechy autorskiego eksperymentu. Stara się on uczynić. Czas nie tylko elementem konstrukcyjnym, ale i przedmiotem narracji, odsłonić mechanizm posługiwania się czasem.

„Zdawało mi się w życiu, że stoję na pokładzie wielkiego statku i w twarz bije wiatr czasu" — stwierdza autor „Czasobrania" na wstępie. Jest ono powieścią programową, powieścią z tezą. Zgodnie z założeniem, ogłoszonym i rozwiniętym na początku, Gomolicki stara się udokumentować, że istotne jego życie było smagane czasem.

Każdy program podany a priori jest miarą ambicji oraz towarzyszących takiej metodzie niebezpieczeństw. Ewentualność szoku estetyczno-filozoficznego jest mniejsza, gdy już na wstępie się woła „hejże na czasobranie". To pierwsza konsekwencja. Druga: wszelkie filozoficzne motta odautorskie podaja tonację całemu dziełu, które do tej tonacji potem czuje się zobowiązane. W przypadku „Czasobrania" jest to tonacja bardzo uniwersalizująca i patetyczna w formie. Utrzymanie w niej całej powieści byłoby nie tyle nawet trudne, co nużące. Autor wiedziony intuicją odstępuje od tego tonu od czasu do czasu, ale lojalność wobec motta skłania go do stwierdzania wprost, że jednak jesteśmy, już na czasobraniu. Tego rodzaju deklaracje budzą zrozumiałą nieufność — nie należy to raczej do osiągnięć taktycznych i szkodzi całemu przedsięwzięciu, świetnie by się bez niego obyło, ponieważ niewątpliwie jest to próba czasobrania, proustowski szlak rzuca się w oczy, umyślnie niewygładzone, chropowate koła prozy skrzypią na nim z wysiłku.

Czytając powieść narażeni jesteśmy na liczne niespodzianki. Nie wiadomo nigdy, z jakiego powodu zostaniemy rzuceni w inny segment czasu.

Dzieje się to na prawach skojarzeń, ale ta proustowska metoda powtórzona jest w powieści zbyt chyba wiele razy — stanowi właściwie jedyną technikę cofania się w przeszłość — i stwarza przez to typ prozy dygresyjny, przy czym cel tych dygresji nie zawsze jest jasny, czasem ta ucieczka w coraz to inne warstwy czasu wydaje się tylko turystyką. Wprawdzie stworzenie kilku odcieni klimatu przeszłości jest ważne, ale cel miał być inny. Przemiany czasu w powieści mają swoją przyczynę przede wszystkim z operowania różnymi płaszczyznami czasowymi, ze stosowania (przy użyciu jak najróżnorodniejszych środków stylistycznych) zmian dystansu czasowego. W „Czasobraniu" jest właściwie tylko czas, który „był" w którym toczyły się jakoś powiązane ze sobą wydarzenia zawsze jednakowo przywoływane. Punkt odniesienia, czas teraźniejszy, jest zaznaczony tylko hipotetycznie — na początku wydaje się, że jest to moment otrzymania listu, na końcu ujawniono późniejsze jeszcze wydarzenia. Czas przeszły, wszelka retrospekcja ma sens tylko w zestawieniu z teraźniejszością. Tej teraźniejszości Gomolicki nie uwzględnił i dlatego jego eksperyment jest niewątpliwie bardzo ambitny.

Bardziej interesujący niż czasobranie okazał się bunt stylistyczny przeciwko podawaniu informacji dla powiązania zdarzeń. Wyczuwa się go wyraźnie w lukach (ość łącząca zdanie jest ukryta) i stwarza to pewien typ stylu (chwilami zbliża się on nieco do typu prozy Buczkowskiego). Elementy fabularne usuwane są w cień. Nie jest to jednak konsekwentne i dlatego stwarza wrażenie eksperymentu, a nie zdecydowanej metody.

W ogóle powieść cechuje brak zdecydowania — z jednej strony autor stara się zająć pozycję demaskatora, ujawniając jej konstrukcję, z drugiej — angażuje się zbyt serio w sam tok narracji, aby można było zaakceptować to pierwsze założenie. „Czasobranie" jest neogombrowiczowskie w relatywizmie, odnoszącym się do osobowości samego narratora, ale dużo mniej odważne niż Gombrowicz, neoszulcowskie w wyczuleniu na wizjonerskie klimaty, ale mniej niż Szulc, buntownicze nieco formalnie, ale dużo mniej niż Buczkowski, Gomolicki idąc śladami wyznaczonymi przez dokonane już eksperymenty także przez te, które dokonane zostały przez niego w „Uprowadzeniu Baucis" nie zdołał chyba zrealizować do końca tego co zamierzył. A zamierzył ambitnie. Stąd programowe partie „Czasobrania", które mają to przesłonić. Do tego samego celu służą analogiczne do wydarzeń wypadki historyczne, dodane w przypisach sztuczki graficzne, mające upozorować autentyzm zapisków itd. itd.

Składa się to wszystko na zapowiedź czasobrania. Wolno nam mieć nadzieję, że poprzedzą one czasobranie autentyczne.

GINĘLI, ABYŚMY MOGLI ŻYĆ

Tu jest ulica Kilińskiego. Parę kroków dalej Północna. 25 października 1929 roku przed bramą zakładów na ulicy Kilińskiego zastrzelono młodego komunistę, który agitował robotników do strajku na dzień 7 listopada. Robotnik ten nazywał się Harnam. Kronika fabryczna odnotowała krótko wypadki, jakie miały miejsce w październiku 1929 roku. Niestety, nikt nie powiadomił komórki partyjnej o tym, że KZMP wysyła Harnama, aby agitował za strajkiem. Nie poczyniono więc należytych ostrożności. Gdy tow. Harnam zaczął przemawiać, strzelił zdrajca. Harnam padając krzyknął „Niech żyje Polska Republika Rad!" Oto jest krótka prawda o Harnamie. Oto także legenda o robotniku, którego się obawiano i do którego strzelano „nie żałując naboi". W trzydzieści lat po jego śmierci wmurowano w ścianę zakładów tablicę pamiątkową. Fabryka, przed którą zastrzelono Harnama, przyjęła teraz jego imię.

Dawniej — i fabryki, i pałac, i wszystko, co mieściło się na jednolitym obszarze około 15 hektarów przy ulicy Kilińskiego, Północnej, Franciszkańskiej i Smugowej — i przędzalnie, i tkalnie, i farbiarnie, i wykończalnie tkanin bawełnianych i wełnianych — i całe wyposażenie fabryk (także ogród, pałac, część ulicy Północnej), jak również przeszło tysiąc robotników, „które firma zatrudnia pracując na jedną zmianę we wszystkich swych oddziałach" — było własnością jednej rodziny Biedermannów. Dzisiaj w dawnych pomieszczeniach fabrykanckich urządzono świetlicę, a fabryka stała się własnością tych, którzy tutaj pracowali.

W październiku 1943 roku (w czternaście lat po śmierci Harnama) w czasie czarnej nocy hitlerowskie oddziały Gwardii Ludowej wchodzące skład brygady im. generała Bema stoczyły bitwę z przeszło dziesięciokrotnie większymi siłami wroga. Była to największa bitwa stoczona dotychczas przez oddziały brygady — poległo w niej wielu towarzyszy i bojowników o wolność. W ubiegłą niedzielę odbył się w pobliskim Sulejowie wiec, który przerodził się w wielką manifestację pokojową. Tow. Stefan Jędryszczak I sekretarz KW PZPR podkreślił w swoim przemówieniu: „Dwadzieścia lat mija od tamtych pamiętnych dni krwawych walk o Polskę Ludową. Przy akompaniamencie salw ginęło stare, a zarazem rodziło się nowe życie. Oni ginęli, abyśmy dziś mogli żyć, uczyć się i pracować.." Dziś w rocznicę bitwy pod Diablą Górą i w 20 rocznicę powstania Wojska Polskiego, tym znanym z nazwisk i tym bezimiennym bohaterom, którzy swoją krwią torowali drogę dzisiejszej naszej rzeczywistości.., składamy uroczysty hołd".

Trzydzieści cztery lata mija od śmierci Harnama. Dwadzieścia lat od bitwy na Diablej Górze Nie można oczywiście zestawiać mechanicznie tych wydarzeń. Ale są to wydarzenia, które mają wspólną symbolikę. Za murami zakładów Harnama, za ogrodem, za pałacem rysuje się Stare Miasto, słynna „Starówka". Ale inna niż kiedyś — przed nami otwiera się park, na dalszym planie rzędy kolorowych domów — bloków, nowe miasto, które budujemy, które z każdym rokiem pięknieje rośnie, które staje się coraz ciekawsze, wielkie pokojowe miasto, w którym możemy żyć i pracować dzięki takim ludziom jak Harnam, dzięki takim jak ci, którzy walczyli i ginęli pod Diablą Górą.

TADEUSZ PAPIER

XX lat Ludowego Wojska Polskiego

w grafice, plastyce i rzeźbie

Z WYSTAWY W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI W PARKU SIENKIEWICZA

Widok ogólny na pierwszym planie rzeźba M. Szatkowskiego — W POLU

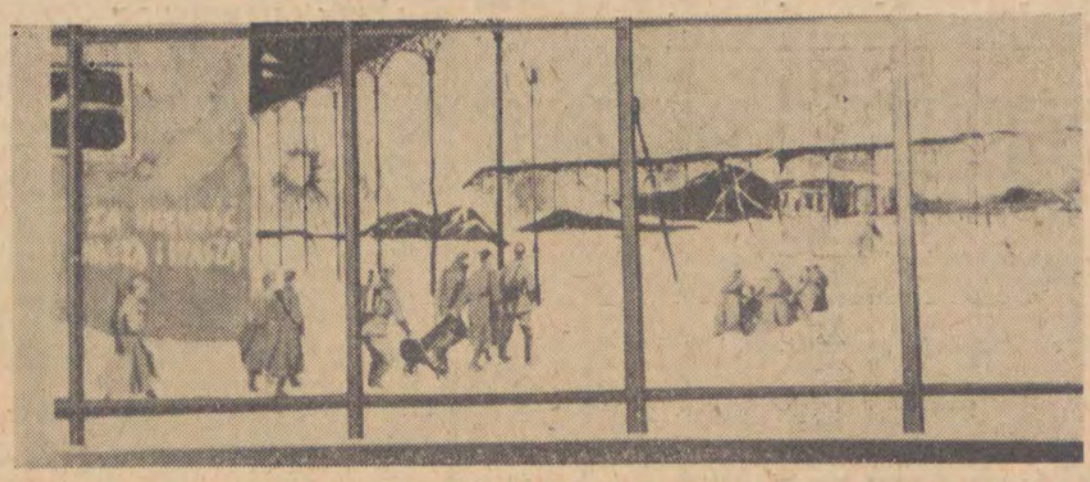

J. Krawczyk — NATARCIE (olej)

B. Liberski — LENINO (grafika)

T. Jóźwiak — GENERAŁ WALTER (grafika)

Dalszy ciąg ze str. 1

wystawianych przedstawień dalekie są od współczesności. Dzieje się tak chyba dlatego, że sztuka teatralna aczkolwiek tworzy swoją własną fikcyjną rzeczywistość, to jest jednak korelatem rzeczywistości realnej. Zdaje sobie sprawę z tego widz szukający we współczesnym teatrze nie tylko rozrywki, lecz i sankcji ideowych oraz moralnych dla procesów przewartościowań i zmiany poglądów jakie zachodzą w naszym społeczeństwie.

Nie będzie chyba wnioskiem pochopnym kiedy postawimy znak równania między postulatem teatru zaangażowanego i postulatem teatru masowego. Zaś zaangażowanie i masowość to wyznaczniki polityki partii w zakresie teatru, wyznaczniki wynikające nie tylko z przyjętych na XIII Plenum założeń, lecz będące również rezultatem tzw. zapotrzebowania społecznego. Ale zaangażowanie i masowość, to nie cele same w sobie.

Postulat teatru zaangażowanego — teatru nie lękającego się ostrych krawędzi współczesności, teatru ideowego biorącego na cel dużego kalibru problematykę społeczną i moralną służy sprawie zwiększenia ofensywności w zakresie oddziaływania ideowego. Chodzi przecież o spotęgowanie walki o socjalistyczną świadomość narodu, o pełne pozyskanie serc i umysłów ludzi pracy dla wielkiego dzieła jakim jest budownictwo socjalizmu w Polsce Ludowej.

Jakie możliwości posiada w tym zakresie teatr?

Odpowiedź na powyższe pytanie posiada doniosłe znaczenie dla naszych dalszych rozważań, albowiem będzie to w jakimś stopniu próbą socjologicznego uzasadnienia społecznej funkcji teatru.

Każdą analizę próbuje się zwykle poprzedzić definicją występującego w życiu zjawiska społecznego. Uczyńmy to samo.

Odnośnie teatru sformułowano już wiele definicji — na przykład według Allardyce Nicolla, teatr jest miejscem metafizycznego kultu sztuki dramatycznej, „tragedii i komedii natchnionej prawdziwym pomysłem poetyckim" — jest sanktuarium sztuki niezależnej od materialnego podłoża, wypełniającej serca i dusze ludzkie czymś, co nazwać można byłoby ekstazą religijną.

Edward Csato widzi zaś w teatrze skojarzenie szeregu elementów. „Teatr — pisze Csato — jednak jest nie tylko świątynią sztuki, amboną filozoficzną i kuźnią ideologii, ale i fabryką produkującą codzienną rozrywkę".

Na pewno nie są to definicje teatru w dosłownym znaczeniu, lecz jakieś ogólne poglądy na teatr nie wyczerpujące jego istoty.

Ciekawym spostrzeżeniem są uwagi niemieckiego teatrologa Juliusza Baba, który w odpowiedzi na pytanie „Czym jest teatr?" — snuje następujące rozważania. „Budynkiem i całym przynależnym do niego sprzętem? Wielkim przedsiębiorstwem z mnóstwem finansowych i technicznych urządzeń? Wszystko to nic nie mówi o istocie teatru. To tylko nader zmienny, w pewnych okolicznościach do minimum ograniczony materiał, wytyczający przestrzeń, na której zetknąć się mają trzy czynniki stanowiące o teatrze.

Gmach, organizacja, techniczne ukształtowanie sceny, wszystko to odzwierciedla, oczywiście, bardzo wyraźnie wewnętrzne czynniki, którymi żyje teatr. Nigdy jednak nie może być teatru bez publiczności, bez aktora, bez dramatopisarza — i teatr zawsze choruje i słabnie, gdy zawodzi jeden z tych trzech czynników. Jednakże decyduje oczywiście, bo wyznacza i warunkuje pozostałe, czynnik pierwszy, ten z którego dopiero logicznie wyrosnąć mogła sztuka sceniczna i dramat. Na początku była publiczność".

Nie siląc się na krytyczną analizę przytoczonych wypowiedzi — zwróćmy jedynie uwagę, że publiczność traktowana jest albo jako część składowa teatru, albo też jako przedmiot oddziaływania teatru. Bez publiczności teatr nie istnieje. Wobec tego na czym polega możliwość teatru w zakresie kształtowania uczuć i wyobraźni, czy też postaw ludzkich.

Możliwość teatru, rzecz najogólniej biorąc, polega na jego czynnościach uspołeczniających.

Znany socjolog teatru Aleksander Hertz pisze — „Istotny tu jest fakt gromady ludzkiej, która wyżywa się w atmosferze wzruszeń, dostarczanych przez scenę. To wyżywanie się może być różnej jakości i stopnia, zwartość gromady może być większa lub mniejsza, więź tu powstała, bardziej lub mniej trwała. Niemniej jednak stale zachodzi tu proces uspołecznienia się przez wspólność wzruszeń, przez poddawanie się tym samym autorytetom, przez przyjmowanie tych samych wzorów obyczajowych itp. Wielostronność oddziaływania teatralnego sprawia, że sięga ono do różnych stron osobowości ludzkiej, że może zaspokajać różnorodne potrzeby, dążenia kompensacyjne, nadawać formę i wyraz różnorodnym postawom i oczekiwaniom".

Zgromadzona na widowni publiczność poddawana jest zbiorowemu nastrojowi, któremu ulega niezależnie od swej struktury społecznej. W ciągu trwania spektaklu w zależności od walorów artystycznych sztuki i poziomu przedstawienia, niejednolita poza teatrem gromada, staje się na widowni publicznością teatralną poddawaną tym samym oddziaływaniom, w atmosferze wspólnych przeżyć i wspólnych wzruszeń. Dzięki temu teatr jako instytucja może celowo oddziaływać na tych, którzy z nim się stykają, może pełnić funkcje wychowawcze w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Jest jeszcze jeden problem, który należy wziąć pod uwagę w trakcie rozważań na temat społecznej funkcji teatru. Teatr, będąc ośrodkiem niezmiernie rozległych i złożonych stosunków socjalnych, których następstwa przenikają do różnych dziedzin życia społecznego, wyrasta z określonego układu stosunków międzyludzkich.

Istnieje tylko dany teatr — pisze A. Hertz — odnoszący się do określonych okoliczności czasu i miejsca, uwarunkowany przez całokształt istniejących sytuacji społecznych... Społeczeństwo dworsko-feudalne miało swój teatr, swój teatr zrodziło społeczeństwo kapitalistyczne i każdy z tych teatrów miał inne funkcje i zadania w ramach panujących struktur społeczno-kulturalnych".

Z poglądem tym można być całkowicie zgodnym dodając jedynie, że społeczeństwo socjalistyczne winno mieć swój teatr odpowiadający jego potrzebom i dążeniom.

XIII Plenum KC partii zwróciło uwagę na fakt, że problemy, które były przedmiotem obrad Plenum, a które trzeba na co dzień rozwiązywać — „wymagają wielkiego wysiłku i ofensywnej postawy całej partii".

Nie inaczej przedstawia się sprawa z realizacją zadań stawianych wobec teatru.

Ograniczanie się tylko do wysuwania postulatów w kraju budującym socjalizm bez ograniczonej podbudowy tychże konkretnym działaniem, będzie martwym hasłem, nawet jeśli się je zamieści na ozdobnym afiszu.

O powodzeniu pracy teatru zadecyduje organizacja widowni. Liczenie na żywiołowy napływ odbiorców nawet przy usilnej reklamie, to skonwencjonalizowanie teatru, uczynienie go moralnie obojętnym na procesy jakie towarzyszą wszelkim jego przedsięwzięciom.

Upowszechnienie sztuki scenicznej jest jednym z trudnych procesów wymagających prawidłowych założeń teoretycznych, ale i właściwej organizacji, oraz pełnego zaangażowania wszystkich sił różnych instytucji tworzących strukturę społeczno - polityczną naszego społeczeństwa.

Czy do pomyślenia byłaby powszechność nauczania i upowszechniania oświaty, gdyby nie istniał szeroko rozwinięty system organizacyjny, gdyby nie istniał odpowiednio usankcjonowany stosunek do systemu oświatowego różnorodnych instytucji społecznych.

Podobnie rzecz przedstawia się z teatrem. Ktoś w dyskusji nad losami kultury teatralnej wysuwał postulat stworzenia polskiej „Volksbühne", wielkiej masowej organizacji, która zajęłaby się włączeniem teatru do realnego, nowego życia mas pracujących.

Nie kwestionując szlachetności intencji, pomysł wydaje się jednak chybiony. Tworzenie nowej organizacji nic nam nie rozwiązuje. W Polsce istnieją masowe organizacje, których statutowym obowiązkiem jest działalność w zakresie upowszechniania kultury.

W Łodzi studiuje około 14.000 studentów. Gdyby władze okręgowe Zrzeszenia Studentów oraz Zarządy Uczelniane położyły szczególny nacisk na sprawy uczęszczania studentów do teatru, gdyby uwzględniały w większym stopniu rolę, jaką może on spełniać w realizacji celów wychowawczych, to na pewno teatry łódzkie byłyby częściej odwiedzane przez młodzież studiującą w Łodzi.

Drugim poważnym kontrahentem teatru jest Związek Nauczycielstwa Polskiego, grupujący w swoich szeregach na terenie Łodzi liczną armię nauczycieli. Wydaje się, że nie będzie przesadą, gdy stwierdzi się, że istnieje jak dotychczas małe zainteresowanie teatrem tej organizacji.

Weźmy inny przykład. Wśród młodzieży szkół średnich od szeregu lat wprowadzono abonamenty teatralne. Postawmy sobie pytanie — czy Komitety Dzielnicowe i grupy działania ZMS w szkołach zainteresowały się tą akcją w skali masowej, czy dostrzegły w niej czynnik współdziałający z ich celami ideowo - wychowawczymi? Na pewno nie. Podobnie można powiedzieć o wielu innych organizacjach.

Szczególnie ważną instytucją, na którą często zwracają uwagę dyrekcje teatrów, są związki zawodowe oraz ich podstawowe instancje Rady Zakładowe. Dotychczasowe wysiłki zainteresowania teatrem podstawowych zakładów przemysłowych w Łodzi nie dały pożądanych rezultatów.

14 marca 1962 r. Państwowy Teatr Nowy podpisał umowę o współdziałaniu w zakresie upowszechnienia teatru z Radą Zakładową ZPB im. Marchlewskiego. Nie wnikając w treść umowy trzeba stwierdzić, że jej realizacja nastąpiła jedynie na papierze. Pomimo wyraźnego m. in. zobowiązania, dotyczącego propagandy teatru i kolportażu biletów na terenie zakładu, spośród kilkutysięcznej załogi w okresie od 1 stycznia do 31 lipca 1963 r. Teatr Nowy odwiedziło około 300 pracowników.

Zawarcie umowy nie zamknęło wrót Zakładów im. Marchlewskiego dla innych teatrów. Jednak wysiłki czynione np. przez Państwowy Teatr Powszechny, którego repertuar mógłby ktoś określić jako bardziej lekkostrawny, nie stanowią żadnego osiągnięcia. W tym samym czasie rozkolportowano w tychże zakładach zaledwie 600 biletów.

W rezultacie takiego stanu rzeczy obecna widownia łódzkich teatrów rekrutuje się z załóg peryferyjnych instytucji. Z pola widzenia uchodzi wciąż widz robotniczy, który niezbyt często zagląda do teatru.

O tym jak rozumieją społeczną funkcję teatru polityczno-społeczne kierownictwa zakładów pracy, świadczy również ilość zakupionych spektakli z okazji organizowania akademii w związku z różnymi świętami ogólnopaństwowymi. Zdecydowany prym wiedzie tutaj Operetka wyprzedzając teatry dramatyczne w stosunku 10:1.

Rozważania na temat teatru po XIII Plenum chciałoby się zakończyć następującym stwierdzeniem.

Istnieje pełna możliwość takiego ukształtowania teatru, aby odpowiadał on idealom, przeświadczeniom i oczekiwaniom podzielanym przez najszersze środowisko społeczne. Ale przystosowanie teatru do opinii publicznej w kraju budującym socjalizm, wymaga wsparcia jego wysiłków działaniem czynników społecznych, które stawiają mu określone zadania. Bez takiego wsparcia nie można oczekiwać tego, co nazwalibyśmy pełnym uspołecznieniem teatru.

RYSZARD STEFAŃCZYK

WIDZ *sprawa* NAJWAŻNIEJSZA

Po plenum handlowym

WNIOSKI i NADZIEJE

— W interesie ludzi pracy naszego miasta konieczne jest uwzględnienie specyfiki łódzkiej — mówiła na ostatnim Plenum KŁ PZPR I sekretarz Michalina Tatarkówna - Majkowska.

A specyfika Łodzi to wyjątkowo kłopotliwa sytuacja kobiety pracującej, kobiety matki, kobiety prowadzącej gospodarstwo domowe. Wiadomo zaś, że nigdzie poza Łodzią armia kobiet czynnych zawodowo nie jest tak liczna, nigdzie poza Łodzią tyle kobiet nie pracuje w systemie trzyzmianowym. Na tym tle wyjątkowo kształtują się sprawy zaopatrzenia sklepów w artykuły pierwszej potrzeby, tu znaczenie ma nawet sprawa odległości sklepu od domu, nie mówiąc już o dolegliwościach wynikających z okresowych braków tych czy innych artykułów.

Dlatego cenne na Plenum KŁ PZPR były te wszystkie głosy, które szukały rozwiązania wielu aktualnych problemów handlu łódzkiego: braków inwestycyjnych, (tu przykład ze słynnym „kapeluszem pana Anatola"), braków właściwego rozeznania potrzeb rynku łódzkiego ze strony hurtu i wynikających z tego kłopotów dla detalu, dużej płynności kadr w handlu (co trzy lata wymienia się niemal cała 20-tysięczna rzesza pracowników obrotu towarowego w Łodzi).

Komitet Łódzki spotkał się z dużym uznaniem ze strony przedstawiciela KC PZPR obecnego na obradach — właśnie za zwrócenie uwagi na problemy dotychczas mało uwzględniane w pracy instancji partyjnych w naszym kraju, na problemy handlu żywotnie interesujące nie tylko 20-tysięczną armię handlowców ale i całe 730-tysięczne miasto. A materiały orientujące członków Plenum w łódzkiej specyfice handlowej zostały przygotowane starannie i wyczerpująco.

Zabrakło jednak na Plenum przedstawicieli przemysłu — dostawcy wielu artykułów, zwłaszcza, że pod jego adresem kierowano w czasie dyskusji konkretne postulaty. Tu mała uwaga: obserwujemy sytuację — np. w dziedzinie zaopatrzenia łódzkich sklepów w artykuły tekstylno — odzieżowe — w której niezbędne jest znalezienie nowych, skuteczniejszych bodźców w stosunku do przemysłu. Jak stwierdzono, przemysł płaci wiele milionów złotych z tytułu kar umownych za zwłokę w dostawach czy też za złą jakość towarów (około 90 mln. zł rocznie), płaci te pieniądze, ale dostawy wcale się nie poprawiają. Jeśli więc nie pomagają kary, to jakie bodźce (a może sankcje?) mogłyby spowodować zmiany na lepsze?

W poszukiwaniu lepszego, smaczniejszego chleba w każdą sobotę tworzą się duże kolejki przed małymi „Liliputami", bo Łódź w piekarnictwie jest niedoinwestowana, i piekarnie osiągają ilość kosztem jakości. Czy jest tutaj perspektywa poprawy? Nasz codzienny chleb poprawi się prawdopodobnie już niedługo, w kraju bowiem uruchomimy wkrótce produkcję maszyn dla piekarń, umożliwiających rozszerzenie bazy produkcyjnej, za czym pójdzie również zwiększona troska o jakość chleba.

Po raz pierwszy po wojnie byliśmy świadkami tak wnikliwej partyjnej dyskusji na temat sytuacji ludzi pracujących w łódzkim handlu. Wykazała ona, że musimy jeszcze wiele zrobić dla podniesienia rangi zawodu handlowca (aby młodzi ludzie z techników handlowych nie szukali pracy poza handlem!), że sami handlowcy mają jeszcze przed sobą bogaty program uzupełnienia wiedzy o nowoczesnych metodach pracy, o właściwym stosunku do klienta (oczywiście i klient mógłby często zmienić swój stosunek do trudnej, nieraz ciężkiej pracy ludzi w handlu!), że niezbędny jest wzrost uświadomienia politycznego kadr handlowych. Bo to nie jest przesadą, że wielu ludzi na tle sytuacji w sklepie, zaopatrzenia w te czy inne artykuły, kształtuje sobie pogląd o... całej naszej gospodarce, praca handlu nosi więc i nosić będzie jeszcze długo wszelkie znamiona działalności o dużym znaczeniu nie tylko społecznym ale i politycznym.

Plenum zakończyło się konkretnymi wnioskami pod adresem ludzi z drugiej strony lady sklepowej, kierownictwa i aktywu handlowego naszego miasta. Wnioskami i nadzieją, że stosunek klienta do dostawcy naszego chleba powszedniego, mleka, ełany i tysiąca drobiazgów układać się będzie coraz bardziej ku zadowoleniu obu zainteresowanych stron.

F. B.

W pracowniach łódzkich pisarzy

HELENA DUNINÓWNA

W okresie ostatnich dwóch lat nie opublikowałam żadnej książki, pracowałam w tym czasie dwutorowo: nad dużym rozmiarami (2 grube tomy) a trudnym do precyzyjnego odtworzenia przekładem pisanego w języku francuskim, słynnego „Dziennika" Marii Baszkircew, Rosjanki, młodziutkiej, bo zaledwie dwadzieścia cztery lata żyjącej (1860—1884) malarki, mieszkającej stale we Francji, oraz nad zbieraniem materiałów do zaplanowanej własnej książki.

„Dziennik" Marii Baszkircew, prowadzony od dwunastego roku życia aż do samej śmierci, jest niezwykle ciekawym dokumentem psychologicznym i obyczajowym. Ukaże się nakładem „Czytelnika".

Co do mojej pracy oryginalnej — nie może się posuwać zbyt szybko. Rodzaj tego, o czym umiem i o czym jedynie chyba lubię pisać — to wymagające mozolnego szperactwa zetknięcie z przeszłością. Fascynuje mnie stale autentyzm naszego dawnego, obyczajowego życia, warszawskiego zwłaszcza, którego ciekawych, zaskakujących nieraz szczegółów dostarcza mi stara polska prasa.

Zbieram więc nadal potrzebne mi materiały i równocześnie opracowuję poszczególne rozdziały już zaawansowanej książki, w której zajmuję się zagadnieniem istnienia i rozwoju polskiego kobiecego życia: intelektualnego, społecznego, obyczajowego — w dawno minionych latach.

Dużo niespodzianek, dużo ciekawostek, a nieraz i dużo prawdziwego komizmu.

Praca ta zajmie mi jeszcze na pewno szereg miesięcy.

JÓZEF DUTKIEWICZ

HISTORIA *dla* WSZYSTKICH

Na odbytym w dniach 12—16 września br. w Warszawie IX powszechnym zjeździe historyków polskich jednym z zasadniczych problemów była sprawa docierania wyników nauki do przeciętnego obywatela. Różne sygnały wskazują, że zła passa dla historyków obserwowana w latach 1956—60 zdaje się mijać. Wiedza Powszechna publikuje coraz nowe tomiki prac popularno-naukowych na wysokim poziomie, których autorami są wybitni specjaliści. Biblioteka „Światowida" (Książka i Wiedza) wykazuje chyba jeszcze większą dbałość o to, by wypowiadający się autorzy byli „utytułowani", należeli do kręgu cechu „wyzwolonych" historyków, reprezentowali rzetelną wiedzę, której świadectwem jest ich dotychczasowy naukowy dorobek.

I tu dochodzimy do sedna problemu. Czy istotnie musi tak być, by dzieło „czysto" naukowe historyka upstrzone przypisami, dokumentacją, napisane było językiem godnym dawnych niemieckich „buchów", językiem niezrozumiałym dla laika, trudnym, wymagającym dopiero specjalisty-popularyzatora, który by gruntowne, odkrywcze wyniki żmudnej archiwalnej pracy historyka-badacza przełożył na język przeciętnego inteligenta.

Specjalizacja w każdej dziedzinie wiedzy, wąskość konieczna tematyki prac doktorskich dla uzyskania ich gruntowności zdaje się przesądzać tę kwestię bezapelacyjnie. Mamy dziś zarządzenia wprost zakazujące drukowania prac doktorskich. Wystarczy ich powielenie w niewielkiej stosunkowo liczbie egzemplarzy dla wąskiego kręgu specjalistów. Fachowe czasopisma, gdzie zamieszczane są recenzje, informujące o najważniejszych osiągnięciach świeżo ogłoszonych publikacji mają rozpowszechnienie minimalne.

Ile osób w mieście Łodzi i województwie łódzkim prenumeruje oficjalny organ Instytutu Historii PAN „*Kwartalnik historyczny*"? Dawniej otrzymywali go bezpłatnie w zamian za zapłaconą składkę wszyscy członkowie Polskiego Towarzystwa Historycznego. Oddział łódzki PTH przed wojną był dzięki energii jego długoletniego prezesa Zygmunta Lorenza najliczniejszym w całej Polsce. Dziś Oddział PTH w Łodzi posiadający kilka kół w województwie ma 2 (słownie dwóch) prenumeratorów *Kwartalnika historycznego*.

Można powiedzieć, że dziś rolę dawnego „Kwartalnika historycznego", w przekazywaniu osiągnięć nauki szerokim kręgom społeczeństwa a przede wszystkim nauczycielom, pełnią inne czasopisma. Tak więc *Wiadomości historyczne* wydawane przez PZWS przy współudziale PTH docierają do nauczycieli nie tylko szkół średnich ale i podstawowych. *Wiadomości* były w l. 1946—49 wydawane w Łodzi, przeżyły wówczas swój okres świetności, bo *Kwartalnik* i *Przegląd historyczny* nie ukazywały się lub wychodziły ze znacznym opóźnieniem. Drugi okres to przekształcenie na *„Historię i naukę o konstytucji"* (redakcja warszawska), trzeci krakowski 1958—1962 od tego roku *Wiadomości* wychodzą znów w Warszawie. Cierpią na skutek ograniczeń w zakresie przyznanych arkuszy, ale usiłują trzymać rękę na pulsie postępów historycznej wiedzy i przekształceń programowych szkoły, dostarczając materiału obecnie głównie nauczycielom historii w klasie V, gdzie obowiązuje nowy program.

Znacznie większy nakład posiada czasopismo wydawane również przez redakcję historii PZWS przy współpracy z PTH, a mianowicie miesięcznik *„Mówią wieki"*. Przeznaczony zrazu dla uczniów klas licealnych stał się czasopismem czytanym przez publiczność także dorosłą, czytany przez nauczycieli szkół podstawowych, którym daje wiele materiału pozwalającego urozmaicić lekcje historii. Pamiętamy, że po 1956 najpoważniejszym zarzutem w stosunku do wykładowców historii było to, że lekcje były przeraźliwie nudne, że historia została „odpostaciowana". Istotnie w tzw. minionym okresie sam fakt napisania a zwłaszcza wydania biografii nastręczał duże trudności, bowiem każdy zarys biograficzny uważano za przejaw burżuazyjnej „heroizacji" historii na model Carlylowski. Musiało upłynąć wiele czasu nim wykłady z historii gospodarczej przestały być w szkole suchymi wyliczeniami cyfr, frazesami-sloganami o siłach wytwórczych i produkcyjnych, a dopracowaliśmy się przynajmniej w pewnej mierze konkretu, uplastycznienia, poglądowości, bez której żadna popularyzacja i nauczanie w szkole zwłaszcza podstawowej nie może osiągnąć wielkich rezultatów. W historii gospodarczej zaczęto pokazywać konkretnego człowieka pracy, jego potrzeby i trudności.

Na posiedzeniach rady głównej przy MSW, rady naukowej Instytutu Historii PAN odzywają się głosy za koniecznością likwidacji przerostów drobiazgowości, przerostów faktografii i dokumentacji nad syntetycznymi uwagami. To nie tylko ograniczenia papierowe, kompresja przyznawanych arkuszy dla historycznych czasopism, dla wszystkich towarzystw naukowych i instytucji wydawniczych powodują wołanie o nieprzekraczanie 10 arkuszy przy monografii oddawanej do druku. Chodzi przede wszystkim o likwidację zbędnych przydługich cytatów źródłowych, o kompresję rzeczową, o spojrzenie ogólne. Wymaga się więcej oczytania wszechstronnego od przyszłych adeptów historycznej wiedzy, by ich spojrzenie na przeszłość uwolniło się od wąskich tez ciasnego wycinka badanej rzeczywistości. Żądamy kompleksowego badania, kompleksowego ujęcia. A przede wszystkim zwięzłości, komunikatywności wykładu, od którego dotychczas domagano się głównie metodologicznej poprawności, ścisłości, koniecznie bazy archiwalnej, jak gdyby w historii nowoczesnej nie było wiele tematów do opracowania, dla których sięganie do archiwalnych materiałów nie jest koniecznie potrzebne. Archiwalia w niektórych pracach w szczególności doktorskich rozprawach, przykrywały nie raz ubóstwo koncepcji, słabo postawione zagadnienie, nieumiejętne postawienie problemu. Dziś obserwujemy w nauce historycznej zwrot do rozważań teoretycznych (ostatnie prace Kuli w zakresie teorii historii gospodarczej). Sens praktyczny tych tendencji pokrywa się z postulatem w zakresie doskonalenia konstrukcji prac, ich stylu, wykładu, terminologii. Zważmy, że ścisłość wcale nie jest równoznaczna z zawiłością stylu, z nadmiernym używaniem pseudonaukowego żargonu (á la Chwistek). Najwięksi nasi mistrzowie potrafili o sprawach skomplikowanych pisać w sposób czytelny. Na naszej nauce historycznej ciąży wciąż szkoła niemieckiej gruntowności, oczywiście francuska lekkość to nie stoczenie się na wie romanciée. Jesteśmy jednak chyba świadkami, jak zaciera się różnica między popularyzacją na najwyższym poziomie, a opracowaniem syntetycznym (patrz Jabłoński *U źródeł drugiej Rzplitej*, gdzie prof. Jabłoński sekretarz generalny PAN dał nam wspaniały przykład dobrej roboty naukowej napisanej interesująco dla przeciętnego czytelnika.

Tu parę słów o tym właśnie czytelniku „przeciętnym".

Dotychczasowe moje wywody przedstawiały rzecz z punktu widzenia warsztatu naukowca, choć uwzględniałem „ogólne zapotrzebowanie" czytelnika. Otóż trzeba sobie chyba powiedzieć, że często narzekania na nasze podręczniki szkolne, narzekania na niewiedzę naszych wychowanków szkół średnich w zakresie historii przeważnie są wynikiem tego, że oczekujemy od młodzieży tej samej wiedzy, jaką nas starszych karmiono w szkole. Rozdzieramy szaty nad „ubolewania godnym" faktem, że uczniowie nie umieją matejkowskiego pocztu królów polskich na pamięć, że mylą książąt dzielnicowych w XII i XIII w., że nie słyszeli np. o tak epokowym wydarzeniu jak wojna dwu róż w Anglii. Pamiętam, gdy asystowałem jako drugi referent przy egzaminach magisterskich lub doktorskich przeprowadzanych przez prof. Gąsiorowską, ta kończąc pytać kandydata, zwracała się do mnie nieco ironicznie: „no, a teraz niech pan pyta o królów". Historia, którą wykładamy uczniom w szkole średniej i podstawowej, przestała być historią królów. Ten fakt jakoś nie może jeszcze znaleźć sobie drogi do świadomości wielu rodziców, ba, nawet poniektórych egzaminatorów przy egzaminie wstępnym do szkoły wyższej. Widzę w tym fakcie jedną z przyczyn odrzucania książki historycznej współczesnej, jako, „nieciekawej". Przed tym naciskiem opinii historycy bronić się będą nadal.

Pamiętamy, że tylko „rzemieślnicy" historycy ukrywają swe uczucia, wymazują swą indywidualność z historycznego wykładu. Prawdziwy historyk nie jest nigdy obojętny wobec materiału, który wykłada, jest zaangażowany. Na tym właśnie polega upolitycznienie historii.

ROMAN GORZELSKI

CHEMIZACJA

Parę miesięcy temu, jak co roku w Technikum Chemicznym przy ul. Tamki 12 rozdano dyplomy techników technologów i techników analityków. Chemizacja ogarnia całe nasze życie gospodarcze. Każdy proces produkcyjny poprzedza badanie surowca pod względem chemicznym i dlatego przemysł włókienniczy, metalurgiczny, elektryczny, spożywczy zgłasza zapotrzebowanie na techników chemików. W chwili obecnej około 1.500 absolwentów (od momentu powstania tej szkoły) Technikum Chemicznego w Łodzi pracuje w laboratoriach na terenie całego kraju.

Początkowo społeczeństwo odczuwało niechęć do szkół zawodowych. O popularności Technikum Chemicznego wśród młodzieży świadczy liczba kandydatów, która aż czterokrotnie przewyższa ilość miejsc jakimi dysponuje szkoła. W dużym stopniu zmniejszył się napływ młodzieży z terenu województwa, chociaż technikum ma obowiązek przyjąć 15 proc. uczniów zamiejscowych, ale ze względu na 20 miejsc w internacie limit ten nie jest wykorzystywany i w dalszym ciągu zaznacza się wyraźna przewaga młodzieży ze środowiska robotniczego, której jest aż 60 proc., chłopskiego zaledwie 10 proc. Uczniowie szybko aklimatyzują się w nowych warunkach. Znalezienie się w środowisku inteligenckim jest w dalszym ciągu dużym dopingiem dla nielicznej w Technikum młodzieży wiejskiej, która przeważnie zdradza duże zdolności do matematyki i przedmiotów ścisłych.

Pęd do dalszego kształcenia się jest charakterystyczny dla środowiska chłopskiego i robotniczego. Dzieci inteligenckie nie wykazują najczęściej tak wielkiej energii w zdobywaniu wiedzy. Oczywiście, muszę tutaj od razu zastrzec, że są to wnioski wysnute na podstawie obserwacji, poczynionych wyłącznie w Technikum Chemicznym.

Zupełnie oczywistym wydaje się fakt, że jednym z warunków przyjęcia do tego typu szkoły jest wymagany dobry stan zdrowia. Doskonały wzrok (kolorymetria — stwierdzanie pewnych pierwiastków w zależności od koloru), zdrowe płuca oraz odpowiedni wzrost (stoły laboratoryjne są wysokie). Wykluczone jest płaskostopie, gdyż pracę wykonuje się stojąc. Dziś chemia staje się nauką opartą na matematyce, wkraczając jednocześnie w dziedzinę fizyki i właśnie dlatego każdy chemik musi być technikiem mechanikiem. Teraz już nie wystarcza reborta i kolba. Są skomplikowane maszyny, a bez dokładnej ich znajomości trudno jest wyobrazić sobie dobrego pracownika. Niełatwe są studia w Technikum Chemicznym. Obok ćwiczeń praktycznych jest również olbrzymi materiał do opanowania pamięciowego. Trudności te jednak nie odstraszają wielkiej liczby kandydatów. Większość z nich to dziewczęta. Pilne, dokładne, są niezastąpione, przy analizach jakościowych.

W Łodzi przemysł chemiczny musi rozwijać się równolegle z przemysłem włókienniczym, aby wyprzeć włókna pochodzenia roślinnego i zwierzęcego (wełna, bawełna), włóknami wełnopodobnymi (anilana). Na Widzewie powstaje nowoczesna fabryka anilany, która już w tej chwili „zamówiła" w Technikum Chemicznym 50 absolwentów. Rozwój Łódzkich Zakładów Farmaceutycznych, Łódzkich Zakładów Chemicznych, Łódzkich Zakładów Wyrobów Gumowych, oraz różnego rodzaju spółdzielni chemicznych w dużym stopniu uzależniony jest od ilości wysoko wykwalifikowanych techników, brak których można obecnie zanotować na „chemicznym rynku". I dlatego należy chyba raz jeszcze dobrze zastanowić się przed wydaniem decyzji likwidacji rocznej oraz 2 i półrocznej Państwowej Szkoły Technicznej kształcącej techników technologów i techników analityków. Absolwenci tej szkoły z dużym przygotowaniem humanistycznym mając już ukończoną szkołę ogólnokształcącą jako pracownicy przewyższają swoją zdolnością produkcyjną absolwentów 5-letniego technikum. Otrzymują oni doskonałe posady bez pośrednictwa. Likwidacja tych szkół jest dowodem nieznajomości potrzeb przemysłu.

II

Jesteśmy świadkami dehumanizacji szkół zawodowych,

CO słychać?

W wyniku porozumienia zawartego ostatnio między Wydz. Kultury Prez. WRN, a związkami branżowymi spółdzielczości wiejskiej (min. WZGS, Spółdzielnia Oszczędnościowo - Pożyczkowa, Zarząd Okręgowy Spółdzielni Mleczarskich (m. in. w trzech powiatach naszego województwa (Rawa Maz., Piotrków i Kutno) podjęty zostanie ciekawy eksperyment dotyczący ważnego problemu koordynacji środków, kształcenia kadr oraz wypróbowania nowoczesnych form i metod upowszechniania kultury w społeczeństwie. A więc, np. w Piotrkowie projektuje się likwidację Miejskiego Domu Kultury. Na jego miejsce powołany ma być powiatowy ośrodek doskonalenia i poradnictwa kulturalno-oświatowego, którego głównym zadaniem będzie jak najskuteczniejsze oddziaływanie na tzw. „niżej" zorganizowane placówki terenowe. Działalność merytoryczną w mieście przejęłyby natomiast poszczególne świetlice i kluby działające na terenie Piotrkowa. W powiecie powstaną rejonowe, wiejskie domy kultury o rozszerzonym zasięgu oddziaływania, utrzymujące się ze świadczeń wszystkich instytucji wchodzących w skład wspólnego „bloku". Całą akcją kierować będą specjalne kolektywy powołane przy Wydz. Oświaty i Kultury Prez. WRN. Jesteśmy więc świadkami ważnego kroku w konkretnej realizacji postanowień XIII Plenum KC PZPR. Nowy etap ofensywy kulturalnej — rozpoczęty!

●

4 października odbyła się narada pracowników kinematografii województwa łódzkiego, poświęcona omówieniu problemów związanych z polepszeniem stylu pracy aparatu rozpowszechniania filmów. W naradzie, obok przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, Centrali Wynajmu Filmów, Centrali Filmów Oświatowych „FILMOS", WZK, WKZZ, Zarządu Okręgu ZZ Pracowników Kultury i Sztuki, wzięli udział kierownicy wszystkich kin terenowych. W wyniku obrad postawiono szereg ważnych zadań i postulatów, mających na celu likwidację istniejących niedociągnięć oraz znalezienie nowych dróg społecznego oddziaływania kulturalnego:

— kino musi stać się pełnowartościową placówką kulturalno-oświatową w środowisku. W związku z tym wzrasta jego odpowiedzialność za pełnione funkcje dydaktyczno-wychowawcze,

— w powiązaniu z tym zadaniem, poważnie wzrasta potrzeba podnoszenia kwalifikacji zawodowych pracowników kin terenowych (zwłaszcza pogłębienie wiedzy o filmie),

— dotychczasowa sieć kin wiejskich musi ulec intensywniejszemu rozwojowi,

— zwrócono także uwagę na konieczność poprawy technicznej jakości projekcji filmów wyświetlanych na wsi oraz potrzebę poprawy warunków lokalowych kin już istniejących.

ŁÓDŹ W JAKIEJ ŻYJEMY

FELIKS BĄBOL

PROCES PRZECIWKO SREBRNEJ

Ten proces nie toczy się w żadnym sądzie, rozbrzmiewają jedynie kuluary, a kuluary w tym procesie to stare, walące się domki przy małej uliczce, której w czterdziestym piątym dano imię Armii Czerwonej, to dom byłego prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej, Góreckiego, mieszkania sikawkowych i toporników ze straży, to wreszcie pokoiki w jednopiętrowym domu w konstantynowskiej Radzie Narodowej. Obrońcy Srebrnej grożą napisaniem do Fali 56, a my — piszemy o tym nie dlatego, aby oszczędzić Srebrnej sześćdziesięciu groszy na znaczek do Warszawy, ale po prostu: 15 min. drogi od łódzkiego placu Wolności, skąd tramwaje dojazdowe jadą do Konstantynowa i Lutomierska, doszło do starcia, w którym bohaterami są właściwie nie Srebrna, nie konstantynowska Rada, nie prezesi i topornicy, a zadawnione tradycję, lokalny patriotyzm, współczesność malująca śmiałe obrazy dnia jutrzejszego, wreszcie — wady i zalety ludzkich charakterów, bogato rozsiane po kraju.

* * *

Rzecz dzieje się jedynie kilkaset metrów od granic Wielkiej Łodzi, a przecież mało wiemy o Srebrnej! Doprawdy, kto wie, że sto pięćdziesiąt lat temu przybył tu Miller z Badenii, że za nim ściągnęli Safran i Bandelo, a za tymi jeszcze inni z Saksonii, aby karczować nieprzebyte lasy między Łodzią i powstającym właśnie Konstantynowem. Rodziny tych Niemców ze Srebrnej uruchamiały w tym samym czasie na Wólczańskiej warsztaty tkackie, bądź szukały zajęcia w małych fabryczkach konstantynowskich. Do Konstantynowa zaś przemysł wełniany przyszedł z Ozorkowa, z tegoż Ozorkowa zresztą do Łodzi przybył sam Scheibler. Szersze przywileje i ulgi ściągnęły więc fabrykantów szukających najlepszych warunków rozwoju. Zmieniały się one z czasem. Tak np. Geyer najpierw działał w Konstantynowie, zanim nie skusiły go obietnice łódzkich rajców miejskich, wielkie przywileje. Ogród Angielski i obszary w pobliżu Kweli zręczyły Scheiblera. Piszemy o tych sławach przemysłowych związanych z Konstantynowem, bo jego rozwój spowodował, że w cieniu wielkiego przemysłu konstantynowskiego mogli znaleźć egzystencję i osadnicy i tkacze ze Srebrnej.

Jednym wystarczyły działki ziemi z parcelacji i zyski ze sprzedaży produktów rolnych na potrzeby Konstantynowa, innym chałupnicze zarobki tkaczy zależnych od konstantynowskich nakładców. Ale oto dochodzimy już do historii Góreckiego i Ochotniczej Straży Pożarnej.

Górecki przybył do Srebrnej w 1910 roku, w kilka miesięcy po pożarze, który zmiótł drewnianą, krytą słomą osadę z powierzchni ziemi i gdy pogorzelcy, którzy tyle lat walczyli z głębokim borem, wydzierając przyrodzie działki pod uprawę, zdecydowali się nie opuszczać ziemi i Srebrną odbudować.

Ze Srebrnej do Konstantynowa jest tylko dwa kilometry, ale ludzie tutejsi od początku sąsiedzkich stosunków nigdy nie liczyli na Konstantynów. Gdy cała wieś płonęła, nie pomogło nawet to sąsiedztwo. 50 lat temu żywioł był bowiem szybszy niż konne beczkowozy strażackie.

Więc już 50 lat temu gospodarze ze Srebrnej postanowili liczyć tylko na własne siły i w miejscu, gdzie był duży staw, a obok przystawał tramwaj jadący z Konstantynowa do Łodzi, wybrali kawałek gromadzkiego gruntu pod budowę strażackiej remizy.

Stanęła drewniana szopa, o bywatele złożyli się na pompę i na bosaki, latami ciułali na mundury dla sikawkowych i toporników, na węże gumowe. Rolnik Józef Wajs, Juliusz Bandelo (prawnuk założyciela Srebrnej), Piotr Naze (ostatni zresztą przedwojenny komendant straży, mimo swego „czysto niemieckiego" pochodzenia zamordowany za polskość w Radogoszczu), Józef Getner — wszyscy chodzili od zagrody do zagrody, zbierając na potrzeby straży.

Walce z żywiołem podporządkowano i styl zabudowy: po wielkim pożarze z 1910 roku, nowa Srebrna stanęła jak wymusztrowane wojsko, szczytami do ulicy, ciasno, chałupa przy chałupie, aby łatwiej było sąsiadowi skoczyć na pomoc z bosakiem.

Po tym pożarze zaczęto również szukać gliny w Srebrnej, a że pokłady jej okazały się bogate, zbudowano dwie cegielnie: Leopolda Heuslera i Stanisława Pałaszewskiego. I cegielnie i straż ogniowa związały się w jakiś zorganizowany sposób z trudnym życiem mieszkańców Srebrnej.

* * *

Więc gdy do Łodzi było daleko i drogo (tramwaj dojazdowy kosztował wtedy dziesięć jajek), a z Konstantynowem związki sąsiedzkie były niemal żadne — postępował przed wojną proces izolacji społecznej i kulturalnej mieszkańców Srebrnej. Natomiast poczucie pracy społecznej dla siebie i sąsiadów było wielkie, powiązane z tradycją, więc nawet nie szukali architekta, gdy powstała przed 30 laty myśl wybudowania porządnego, murowanego domu ludowego we wsi. Nauczyciel sam zrobił plan i ten plan właśnie zrealizowano: na dole wielka sala, obok wozownia dla strażaków, na górze mniejszy lokal na świetlicę, zebrania zarządu OSP, kółek i organizacji działających we wsi. Już wtedy zdawano sobie sprawę z tego, że zamierzenia są bardzo ambitne i że na ich realizację trzeba będzie sięgnąć do większej jeszcze niż dotąd ofiarności ludzkiej.

Zaczęto budowę w 1932 roku, ale po dwóch latach zabrakło już pieniędzy na wykończenie, biedowali więc w niewykończonym Domu społecznicy i organizatorzy imprez i zabaw, biedowali aż do wojny.

Po wojnie z całego świata ściągnęli gospodarze na swoje grunty, odżył na nowo ten na strój społecznego działania dla siebie i dla swej wsi. Ale gospodarze nie od razu przecież dobili się zamożności, więc z ofiarnością nie było najlepiej. Podłogę udało się założyć dopiero w 1946 roku, schody w 1947, a okna w 1948. A jeśli tyle lat cała wieś licząca około 800 dusz nie myśli o niczym innym, jak tylko o tych schodach dla własnego Domu, o oknach i o podłodze, to czy tak łatwo zgodzić się teraz z konstantynowską Radą, która wielką salę na parterze zamierza wydzierżawić jakiejś spółdzielni na produkcję farb i lakierów?

* * *

— Przecież straż nie miałaby u nas nic więcej do roboty — mówi o tym Górecki — jak tylko uważać na te farby i lakiery, które palą się aż miło przy lada nieostrożności. A zresztą — tyle lat pracowaliśmy wszyscy, aby ten dom stanął, tyle odmawialiśmy sobie, odejmowaliśmy od ust, czy można więc tak jednym pociągnięciem ołówka przekreślić wysiłek całej wsi?

Powiedzieliśmy Góreckiemu, że oczywiście nie można, ale zapytaliśmy o dalsze argumenty za utrzymaniem tego, co wieś tu dokonała. Argumentów jest sporo: dom jest jedynym ogniskiem skupiającym życie społeczne i kulturalne Srebrnej, tu zbiera się dopiero niedawno założona komórka ZMS, w świetlicy na górze odbywają się wszystkie gromadzkie zebrania, na dole młodzież od czasu do czasu organizuje sobie rozrywkę, tańczy na zabawach, urządza imprezy, tutaj też raz na jakiś czas instaluje się kino objazdowe, aby chłopom, robotnikom z cegielni, rolnikom z pobliskiej spółdzielni produkcyjnej i tym, którzy pracują w Łodzi, ale wieczory i niedziele spędzają w Srebrnej, pokazać starzejącego się Chevaliera, czy uroki amerykańskich prerii.

Są i argumenty na jutro: wieś pragnie urządzić w Domu własną bibliotekę i czytelnię pism, zakupić krzesła czy choćby ławki, aby ludzie nie musieli na film przychodzić z własnymi stołkami, trzeba dokończyć wyposażenia sali imprezowej na parterze, a za Domem — urządzić basen przeciwpożarowy, trzeba strażakom dokupić kilkadziesiąt metrów węża, bo ten, którym dysponują, jest już zniszczony i za krótki, gdy więc pożar jest o 150 m od basenu, to już straż jest bezradna, bo węża ma tylko na 140 metrów...

Trzeba ludziom, którzy o każdej porze gotowi są nieść pomoc sąsiadom w walce z żywiołem, kupić mundury, bo tych ochotników jest 30, a mundurów tylko 10. Gospodarze chcą grać w tym Domu w szachy i damkę, a przecież idzie jesień, i zima, więc gdy Rada odda lokal tej spółdzielni, to co robić? Potrzebna za tem remiza dla straży (gdy w tym roku piorun uderzył w dom przy ul. Armii Czerwonej, to ogień ugasiła straż miejscowa jeszcze przed przybyciem posiłków z Łodzi i Konstantynowa) i miejsce dla ludzkiej inicjatywy, szukającej dla siebie pola do popisu i działania.

* * *

Pojechaliśmy więc zaraz do Konstantynowa, do tamtejszej Rady, bo zaniepokoiły nas żale społeczników ze Srebrnej.

— Dlaczego jeszcze nie daliście Srebrnej nic z owych 25 tysięcy, które Konstantynów otrzymał na swe ochotnicze straże w tym roku? Dlaczego tak mało interesujecie się potrzebami społeczników ze Srebrnej? Po co straszycie Srebrną tymi farbami i lakierami?

Cierpliwie wysłuchaliśmy przewodniczącego Rady, bo to człowiek z miejsca sugerujący dobrą wolę, rozwagę i trzeźwość myślenia.

— Bardzo nam zależy na utrzymaniu i rozwoju straży w Srebrnej, tym bardziej, że winna ona obsłużyć również pobliską wieś Nowy Józefów, chcemy ją nawet unowocześnić, podobnie jak straż w Konstantynowie (należy rozumieć więc cichą zawiść Srebrnej: OSP w Konstantynowie ma 3 wozy, nowoczesny sprzęt, szoferów na etacie, a tam — w Srebrnej, wszystko idzie jak po grudzie, ze składek ludzkich, z ofiarności...). Ale na tę salę zebrań środków nie mamy.

— Remontują ją sami, własnymi środkami, trzeba by im tylko teraz pomóc, bo już te własne społeczne środki kończą się — zauważyliśmy.

— Mamy 25 tysięcy na straże, ale przecież sala w Srebrnej pochłonęłaby wszystkie fundusze, więc skąd wziąć?

Przewodniczący wytoczył i inne argumenty. Srebrna to przedmieście Konstantynowa, a w to nie chcą uwierzyć jej mieszkańcy. Rada może jej potrzeby traktować tylko w takim rozmiarze, na jaki starczy funduszów miejskich. Rada nie może np. widzieć tylko Srebrną, a zapominać o potrzebach przedszkola miejskiego (które nie ma dotąd wody), szkoły (na której potrzeby ciągle brak pieniędzy w miejskiej kasie), czy też konstantynowskiej łaźni (są na tę łaźnię pieniądze — 250 tys. zł — ale remont jej ma kosztować 450 tys., więc i te ćwierć miliona leży od paru lat bezużytecznie),

A jest też kłopot z zatrudnieniem kobiet, co ma więc zrobić Rada, jeśli zgłasza się do niej spółdzielnia od farb i lakierów, która zamierza uruchomić produkcję w Konstantynowie, tylko nie ma lokalu, a ten lokal w Srebrnej umożliwiłby spółdzielni zatrudnienie pewnej ilości kobiet czekających na pracę...

* * *

I był argument wybiegający w przyszłość. Na wielkiej płachcie papieru podklejonego płótnem oglądaliśmy przyszłość Konstantynowa.

Tuż obok Srebrnej ma powstać wielka dzielnica przemysłowa, a jak dzielnica przemysłowa, to i nowe osiedle mieszkaniowe, i nowe rozwiązania ludzkich potrzeb kulturalnych, czy więc takie kino objazdowe w Srebrnej obok nowego osiedla, nowych fabryk nie będzie już tylko zamierzchłą egzotyką?

— Czy nic nie robimy dla Srebrnej? Dzieci ze Srebrnej uczą się w naszych szkołach, bo tu a nie tam jest liceum, korzystają z naszego Ośrodka Zdrowia, a kino w Konstantynowie świeci pustką, po co więc osobne kino objazdowe w Srebrnej, jeśli za pięć — siedem minut jazdy tramwajem ci ze Srebrnej mogą dostać się do stałego kina w Konstantynowie, A sam dojazd ze Srebrnej kosztuje tylko jedno jajko... Zresztą tylko patrzeć, jak Srebrną przyłączą do Łodzi.

* * *

Przewodniczący zaprzeczył, jakoby perspektywa przyłączenia Srebrnej do Łodzi hamowała akcję pomocy Konstantynowa dla osady — obecnego przedmieścia konstantynowskiego. Zapewniał, że to wcale nie taktyka ojca w stosunku do dziecka, które już wkrótce może stać się dzieckiem wyrodnym. Znikomość pomocy tłumaczył nieodmiennie fizyczną, finansową niemożliwością, na poparcie przypominając obraz przemian, które przyjdą i do Srebrnej i do Konstantynowa.

Ale co zrobić z ludźmi, którzy od kilkudziesięciu lat tworzyli własny Dom, budowali przy pomocy składek jedyne we wsi ognisko wymierzone w wódkę i nudę, w obojętność głuchej wioski? Co zrobić z klimatem wspieranym przez tradycję sąsiedzkiej samoobrony, z atmosferą tego mikrospołeczeństwa ze Srebrnej, która straż pożarną powiązała z troską o kulturalne spędzenie długich jesiennych i zimowych wieczorów?

Na te pytania nie znaleźliśmy odpowiedzi w Konstantynowie. A warto by jej poszukać, bo przecież obok tego, co może nie za bardzo dodatnie — zaściankowości, ambicji osobistych prezesów i działaczy — warto obronić pożyteczne cechy społeczności, skupiającej swe wszystkie siły, czas, pieniądze i działanie wokół nie wszędzie docenianych spraw uporządkowanego życia w gromadzie, wokół własnego losu.

Argumenty Rady w Konstantynowie są rzeczowe, jednak wiążą się z nieodwracalnymi przemianami w naszym życiu i w życiu Srebrnej, ale przecież przy całej swej życiowości i rzeczowości są brutalne. Jak pogodzić twardą wymowę tego, co czeka Srebrną w przyszłości z tym, co w niej dzisiaj zasługuje na poparcie i uznanie?

Może konstantynowska Rada umożliwi Srebrnej bardziej łagodne i bez większych wstrząsów przejście od zdrowego wczoraj i dzisiaj do wręcz rewolucyjnego jutra? Ale ten swój gest powinna okazać już teraz, bezzwłocznie.

i HUMANIZACJA

Przykład: z programu nauczania obejmującego szkoły zasadnicze została usunięta jako niepotrzebna — nauka historii. Maksymalną ilość godzin poświęca się na nauczanie przedmiotów zawodowych, zaniedbując jednocześnie przedmioty humanistyczne, które traktowane jako drugorzędne, są prowadzone w bardzo skromnym zakresie. Należy pamiętać o tym, że wychowuje się przede wszystkim ludzi, a nie chemików, mechaników, włókniarzy. W Anglii poza miejscem pracy mówienie o swoich sprawach zawodowych jest bardzo źle widziane. A w Stanach Zjednoczonych, w kraju gdzie nauki techniczne wyparły z życia codziennego nauki humanistyczne, zwraca się już uwagę na popularyzację tych nauk, które, jak teraz wiemy, mają olbrzymi wpływ na kształtowanie się i dalszy rozwój umiejętności w zakresie wąskiej specjalizacji zawodowej. Zainteresowania sprawami człowieka są szalenie ważne. Bogate życie duchowe wyzwalają głoszone nauki humanistyczne. Należy pamiętać i o tym, że to właśnie szkoły zawodowe opuszcza młodzież nie umiejąca poprawnie mówić po polsku i dlatego tam muszą być najlepsi poloniści, by swoim wpływem zdopingować uczniów do usilnej pracy.

Nieustająca supremacja techniki w nauczaniu może doprowadzić właśnie do zahamowania postępu technicznego, do jego upadku. I już w tej chwili możemy zaobserwować walkę z technizacją jaka zaczyna rozwijać się na Zachodzie i w ZSRR. W Polsce też są czynione nieśmiałe próby w kierunku humanizacji postępującej od podstaw — obejmującej szkolnictwo zawodowe. Nie wolno kształcić tylko w zakresie określonej specjalności, lecz także w zakresie spraw intelektualnych i emocjonalnych. Przypomnijmy sobie twórcę teorii względności A. Einsteina, który był doskonałym muzykiem. Przecież wszyscy wybitni wynalazcy byli wielkimi humanistami.

Od przyszłych inżynierów zajmujących kierownicze stanowiska w naszym przemyśle obok opanowania swojego zawodu będzie wymagana znajomość logiki, psychologii, socjologii. Jeżeli technik chce dojść do wysokich osiągnięć w swojej specjalizacji — musi być humanistą. Łączy się z tym również sprawa kultury życia codziennego. Nie będzie przesady w tym jeżeli kulturę plastyczną naszego środowiska technicznego nazwiemy bardzo niską. Tuż obok można postawić kulturę żywego słowa (umiejętność wysławiania się, formułowania swoich myśli, przekonywania, sposób mówienia, czystość brzmienia języka). W przyszłości kultura spędzania wolnego czasu będzie bardzo ważnym zagadnieniem. W najbliższym pięcioleciu liczba godzin pracy będzie malała (co wynika z samego założenia ustroju) i dlatego technik musi mieć kompensatę w postaci zainteresowań humanistycznych. Humanizacja ukazuje nam niesłychaną ilość nie wykorzystanych dotąd możliwości pracy nad przyszłą inteligencją techniczną w Polsce.

III

Jednym z pierwszych popularyzatorów tego nowego prądu w naszym szkolnictwie zawodowym jest p. A. Jamroż, który wykłada w Technikum Chemicznym w Łodzi. W pokoju nauczycielskim zorganizowana czytelnię czasopism i bibliotekę. W ten sposób każdy z nauczycieli ma ułatwiony dostęp do powieści E. Hemingwaya, J. P. Sartre'a J. Steinbecka, a także do najnowszych zbiorków poezji.

A Jamroż jest wielkim jej miłośnikiem i popularyzatorem. Z jego inicjatywy w 1953 roku przy Technikum Chemicznym powstał Teatr Poezji (w tym roku Teatr obchodzi 10 rocznicę istnienia). Teatr Poezji odgrywa rolę usługową w stosunku do odbiorcy. Chodzi o to by podać słowo w formie uteatralizowanej, żeby oddziałać na wyobraźnię i obudzić uczucia zbliżone do tych jakie chce obudzić poeta. Światło, obraz, barwa, słowo i muzyka. Trzeba to spleść, by oddać główną myśl. Młodzieży Technikum Chemicznego nie narzuca się gotowych rozwiązań. Ma ona dużą swobodę ze względu na dobro zespołu. Każdy daje projekty, oprawa plastyczna, kostiumy, muzyka, światło. Każdy ma w tym jakiś udział. Wybierane są takie tematy, które cieszą się największym zainteresowaniem. Istnienie Teatru Poezji przy szkole zawodowej stwarza bardzo korzystną atmosferę sprzyjającą wartościowaniu kultury humanistycznej jako równorzędnego technice elementu życia człowieka. Od szeregu lat w Technikum Chemicznym prowadzona jest akcja popularyzacji dobrej muzyki, organizowane są wystawy plastyczne. Poziom kulturalny młodzieży podniósł się. Wzrosło zainteresowanie literaturą, muzyką, malarstwem. U młodzieży wyrobił się nawyk uczęszczania do teatru, zakładania swoich księgozbiorów. Wiemy o tym, że nikt nie rodzi się z poczuciem piękna. Trzeba je kształcić, a bez podstaw wiedzy o sztuce nie ma wrażliwości estetycznej. Na wielu przykładach możemy zobaczyć jak sztuka wkracza w dziedzinę techniki, zmieniając kształty maszyn, fabryk, rozjaśniając wnętrza. Technikum Chemiczne jest pierwszą szkołą w Łodzi, która podjęła trudne zadania humanizowania zainteresowań uczniów, wpajania pewnych nawyków kulturowych. Warto bliżej przyjrzeć się temu eksperymentowi.

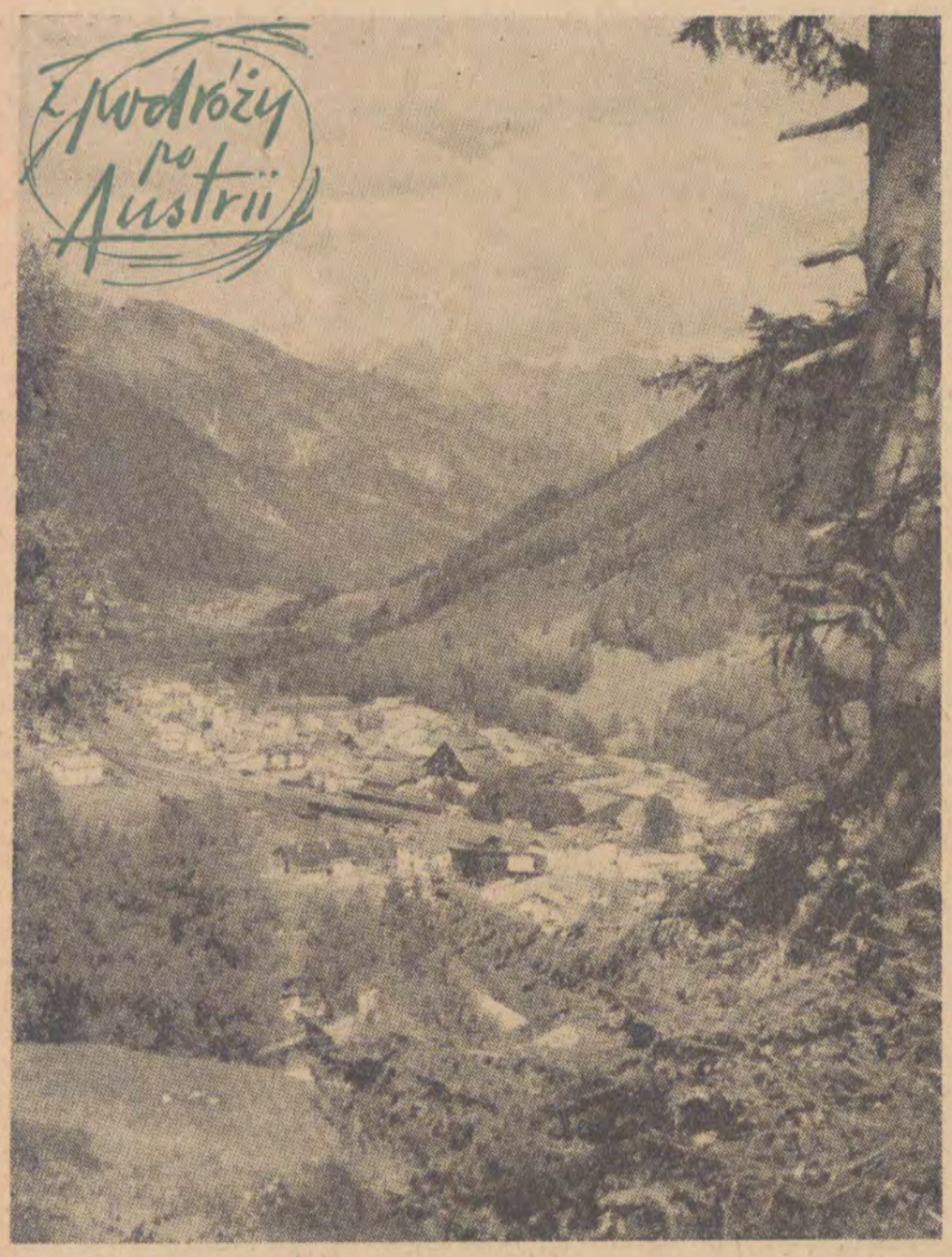

TYROL (III)

STANISŁAW KASZYŃSKI

W miarę trwania podróży nabieram coraz bardziej nawyków kiepskawego turysty, co to na każdym kroku węszy i łowi osobliwości pejzażu, ludzi, architektury, obyczaju. Dopomagają mi w tym dzielnie moi kolejni przewodnicy, o wszystko się troszczą, przewidują z góry, ledwo zjawiam się w hotelu, na stole odnajduję albumy, prospekty, szczegółowy plan zwiedzania, wizyt i spotkań. Po prawdzie, chciałoby się czasem zrobić jakiś maleńki „Seitensprung", wyzwolić się z miłej kurateli i „bryknąć" gdzieś do knajpki z „Heurigerem", z dziewczyną czy bez i wmieszać się w tłum. No, nie jestem niewdzięcznikiem, przystaję na rozkosze planowania. Odczuwam zmęczenie, jest to dobre zmęczenie podróżnika, wcinającego się z zachłannością dziecka, z oczyma otwartymi i słuchem napiętym, w barwne obcością gawędy i spacery. Z Grazu do Innsbrucku jedzie się dziesięć godzin lokalną linią, jestem w przedziale sam, wiele niezakłóconego czasu, by nakładać mijane stacje, zagrody, miasta i pastwiska, góry. Ostatnie godziny niezmiennie w ryglu gór, gór i strumieni — wody jak człowiek przechytrzają wzniesienia, przetaczając swoje losy po nizinach. Tak bezpieczniej i łatwiej. Mój instynkt turysty dopomina się o należne prawa: po przyjeździe, postanawiam, wybiorę się na operetkę, oczywiście, na „Ptasznika z Tyrolu", przyprawionego „echt tirolisch". Już snuje mi się ogromna scena, otwarta w przyprószone śniegiem szczyty, i dużo tańców i przyśpiewek z jodłowaniem. Nic z tego — wieczór spędzam w teatrze, ale na poczciwej operetce wiedeńskiego pochodzenia z „süsse Mäderl". Jest i Herr Hofrat, i ubogi bibliotekarz, Dunaj, uliczka Słowików, a na końcu słodkie gruchanie kochanków. Publiczność bawi się pysznie, wciągam się bez oporów w nastroik — nie bądźmy tacy katońscy, uspokajam sumienie, tacy tylko — proszekspirowscy. A pro domo sua: dyrektor teatru oświadczył mi, że zamierza w przyszłym sezonie wystawić jakiś polski utwór.

Nie to jednak było najmocniejszym wrażeniem z pierwszych godzin pobytu w stolicy Tyrolu. Pamiętam, jak idąc do hotelu główną ulicą Marii Teresy — popołudnie wietrzne, ściemnione chmurami — uderzyła mnie przenikająca wskroś ostrość powietrza i nagle, wychodząc z zakrętu, wrosłem w chodnik — zatrzymała mnie potęga natury, ulica ginęła w grzebieniu szczytów, nagich, sinawych, wyzywających. Tyrol obchodził w tym roku 600-lecie złączenia z Austria i o zmierzchu okoliczne góry zabłysły ogniami. Mimo ładności widoku, obecność człowieka gdzieś tam na wysokościach z jego niewyżytą pasją efekciarstwa teatralnego wydała mi się, wobec wielkości i powagi przyrody, czymś pretensjonalnym, klajstrowaniem rzetelnego piękna. Wszakże pierwsza emocja pozostała, utrwaliłem ją na zawsze, kiedy nazajutrz dotarłem kolejka linowa na Hafelekar (2.334 m), dominujący nad miastem — śniegi, słońce, w załamaniach skał kozice, w przepaści — przytłumione dźwięki i aromaty człowieczego żywota. Moi nadzwyczaj sympatyczni cicerone, z Hofratem I. Bachmannem na czele, podprowadzają mnie do lunet, nacelowanych na wierzchołki przeciwległego łańcucha Alp, które od południa blokują śniadym pierścieniem zieloną dolinę Innu. Panorama rozległa, fascynująca, oglądanie zapiera dech nie wiadomo, jak patrzeć, jak zachować „na zapas" choć odrobinę tej rozrzutności demonów czy aniołów. Pokazują mi płynące z urwisk dukty zjazdów narciarskich, budowaną obecnie w pośpiechu skocznię. Z początkiem przyszłego roku po raz pierwszy w historii Austrii odbędzie się w Innsbrucku, olimpiada zimowa — widać i olimpijską wioskę, drabinki mostów, rozrzucone bezładnie figurgi geometryczne domów i placów. Nie trzeba być specem od tych spraw, by pojąć przychylność natury do tych celów — wymarzone tereny zimowych sportów, nie tylko tutaj, cały Tyrol to proponuje. Wykorzystuje się to starannie. Rokrocznie odwiedza ten kraj kilkanaście milionów turystów, lwia część przybywa w te okolice. Opowiadano mi, że blisko 2/3 wpływów z turystyki przechwytuje się tutaj, tu ujarzmia się ciężki potok dewiz. Zamożność ludności, w innych połaciach kraju raczej pozorna, blichtrowata, wyziera z bogatych form budownictwa — w architekturze znany jest specyficzny styl budownictwa, jak również stroje ludowe — z pedantycznie utrzymanych gospodarstw wiejskich, z garderoby. Atrakcje przyrody uzupełnia się ofertami bardziej przyziemnymi, najistotniejsze, zachować symbiozę ciała i duszy. Małe zajazdy czy espresso przy drogach potrafią zaspokoić nawet wyszukane zachcianki podniebienia; nie piszę po to, by wzbudzić w kimś np. apetyt na pstrąga, skoro wiem, iż np. rodzimy dorsz jest rybą wielce kaloryczną.

Dokad by się nie zawędrowało, wszędzie blisko jakaś granica. Wspomniany jubileusz, połączony m. in. z imponującą retrospektywną wystawą w salach dawnego pałacu dworskiego, rozniecił pretensje terytorialne do południowego Tyrolu, który należy od kilkudziesięciu lat do Włoch. Trudno wnikać w te zawiłości czy może oczywistości, dość że hasło powrotu, rewindykacji, powtarzają płoty, prasa i niektórzy politycy. Od kilku lat Austriacy stosują rodzaj „bojkotu wczasowego" wobec Włoch, wyjeżdżając latem nad jugosłowiański Adriatyk.

Pobliże Włoch nie odbiło się wyraźniej ciągiem wpływów czy zapożyczeń — tak, rubieże są bardziej immunizowane, oporniejsze na fluktuacje. Zresztą nie dostrzeże tego kilkudniowy bywalec. Wprawdzie tedy, wzdłuż krawędzi Alp, biegł stary trakt handlowy i polityczny, którym ongi jechali cesarzowie niemieccy na koronacje do Rzymu, tym pasem nizin szły także wzory mody i obyczajów włoskich na dwory książąt tyrolskich (np. arcyks. Ferdynand Karol zbudował w Innsbrucku w 1653 roku pierwszy odrębnie stojący teatr operowy na obszarze języka niemieckiego) — to jednak więź z umysłowością i państwowością niemiecką istniała niezachwianie: innsbruccy krezusi, np. taki Fugger ratowali z opresji finansowych nawet Habsburgów. Twarde, toporne, góralskie plemię z tradycjami górniczymi — po ostatniej wojnie powstał tu ciężki przemysł — wydało szereg znakomitych osobistości. Np. z podziwem ogląda się pierwszą mapę Tyrolu, opracowaną przez chłopa-samouka Petera Anicha na zlecenie Marii Teresy, czy freski największego malarza austriackiego baroku Paula Trogera. Na tej ziemi urodził się budowniczy ludowego baroku, Jakob Prandtauer, twórca świetnych opactw w Melku, St. Florian i Kremsmünster. Narodowym bohaterem jest Andreas Hofer, walczący przeciw Napoleonowi. Niebywałe monumentalnym dziełem renesansu jest grobowiec Maksymiliana I dłuta A. Colinsa, otoczony 28 nadnaturalnej wielkości postaciami wykutymi z brązu, przedstawiającymi przodków i powinowatych dynastii Habsburgów; wśród nich znajduje się księżniczka z dynastii Piastów. Miałem sposobność obejrzeć i słynną katedrę w Velten i kościół w rodzinnej wiosce mojego miłego przewodnika, dr E. Eigentlera, pyszne, z wiejską pompą i szczodrobliwością wykonane dzieło baroku. Nawiasem: zaimponowali mi moi panowie wiedzą i tym szczególnym uniesieniem nad zabytkami własnego miasta.

Z natłoku tak różnorodnych impresji i pożytecznych spotkań wyłuskuję jeszcze te: rozmowę z zastępcą naczelnika kraju, prof. dr H. Gamperem, który z taką sympatią i znajomością rzeczy, wypowiadał się w Polsce oraz wizytę w Muzeum Sztuki Ludowej, prowadzonym z rozmachem przed dr F. Colleselliego. Tu spotkała mnie niespodzianka: podwieczorek w renesansowej komnacie.

A jednak zostało wspomnienie, które góruje, wyodrębnia się swoją niepowtarzalnością, krąży we mnie, żywe, świeże. Właśnie prof. Gamper zaproponował mi ten wypad: do Erl na widowisko pasyjne. Po drodze — Kufstein, dawna twierdza — więzienie polityczne dla przeciwników monarchii — siedzieli tu w kazamatach Polacy.

Erl jest wioską na granicy niemieckiej. W Erl od 350 lat działa ludowy teatr, wystawiający przez ten szmat czasu niemalże ten sam tekst pasji. Bierze w niej udział dosłownie cała wieś, młodzi, bardzo starzy i dzieci, w scenach masowych występuje do 200 osób. Pewne postacie, jak np. Chrystusa czy Judasza grane są przez mężczyzn tej samej rodziny, rola przechodzi z ojca na syna. Staliśmy przed wejściem do monumentalnego teatru, wzniesionego przed kilku laty. Widziałem, jeszcze „w cywilu", aktorów, prostych chłopów i dziewczyny. Ci pierwsi wyglądali jak biblijni Żydzi, jacyś dostojni, skupieni, z potężnym zarostem, z butnymi czuprynami zaczesanymi w tzw. pleretę. Cała pasja, zaczynająca się mszą, trwa sześć godzin, przed i po południu. Ascetycznie wyposażona scena działa surową architekturą drzewa, zwalistych bloków — jest kilka ruchomych podestów i schodów, żadnych dekoracji, tylko projektor filmowy rzuca w horyzont biało-czarne kontury miejsc akcji, np. Jerozolimy, Golgoty, itp. Widownia ma ten sam patetyczny charakter architektoniczny. Rzecz zaczyna się prologiem, nieco zmodifikowanym do naszych czasów (bomba atomowa, zagrożenie świata poprzez nią), wygłasza go aktor, grający Judasza na opuszczonej do rampy kracie. Kurtyna idzie w górę, aktor wraca do swej roli. Gra się w konwencji podniosłej z akcentami naturalistycznymi. Całość zamyka pieśń śpiewana przez widownię (do 2.000 osób, głównie młodzieży szkolnej) i wszystkie dramatis personae.

Pomijam treść. Zastanowiła mnie zbiorowa hipnoza autentycznym teatrem ludowym, coś głęboko ludzkiego w takim aktywnym stosunku do sztuki. Skoro tak jest, musi promieniować wartością nieprzemijającą, powszechnie odczuwaną.

informacje i zaczepki

Wśród laureatów nagród ministra Obrony Narodowej znaleźli się również łodzianie. Nagrodę drugiego stopnia za sztukę „Jutro Berlin" otrzymał Władysław Orłowski oraz reżyser spektaklu w Teatrze im. Jaracza — Józef Wyszomirski i Feliks Żukowski — kierownik artystyczny teatru.

◆

Po raz szósty w kraju odbywały się w dniach 12—20 października Dni Książki i Prasy Technicznej. Z tej to okazji w gmachu Politechniki Łódzkiej, siedzibie NOT i w ŁDK zorganizowano wielkie wystawy książki technicznej. Przy okazji ciekawostka: w Łodzi i województwie w roku 1962 sprzedano książek i prasy technicznej za sumę około 7 milionów złotych. Książka i prasa staje się coraz bardziej nieodzowną pomocą w nauce i pracy dla naszej inteligencji technicznej.

◆

Wypłatał nam figla nieoceniony „Przekrój" publikując artykuł o zasadach nowej pisowni. Wokół sprawy zrobił się spory szum, a tu Łódzki Dom Książki nie miał nawet pojęcia, kiedy otrzyma partię nowych słowników. Okazało się wreszcie, że są one dopiero w przygotowaniu do druku w Ossolineum i Łódź otrzyma je gdzieś za dwa miesiące. Nawiasem mówiąc wydawcy raczyli zażartować. Nakład nowego słownika wynosić ma... 50 tys. egzemplarzy. Radzimy zatem szybko zawrzeć bliską znajomość z jakimś księgarzem, bo będzie to jedyna droga do zdobycia tej jakże potrzebnej publikacji.

◆

W ubiegłym tygodniu gościła w Łodzi delegacja KC Komsomołu w składzie: W. Czikin redaktor „Komsomolskiej Prawdy" i W. Migdałow — dziennikarz z Moskiewskiej TV. Goście zwiedzili łódzkie zakłady pracy, wyższe uczelnie oraz spotkali się z kierownictwem KL ZMS.

◆

Niedawno otwarto pierwszą na osiedlu 15-lecia (Żubardź) bibliotekę publiczną. Jest to 31 rejonowa wypożyczalnia dla dorosłych i 17 rejonowa wypożyczalnia dla młodzieży z księgozbiorem liczącym łącznie ponad 3 tysiące tomów. To oczywiście początek. Biblioteka na Żubardziu ma bowiem w planach zwiększenie księgozbioru do 15 tysięcy i ambicje obsłużenia całego, niemałego przecież osiedla.

◆

Cytat z artykułu o łódzkim księgarstwie („Przegląd księgarski i wydawniczy" nr 14): „Opowiadał mi na przykład kierownik wielkiej księgarni, że w ciągu października organizuje około 40 wystaw w zakładach pracy z czego jak wiadomo wyniki handlowe są żadne". Naprawdę żadne? Trudno w to uwierzyć, a zresztą czy placówka kulturalna jaką jest chyba księgarnia może zawężać swoje spojrzenie jedynie do handlowych aspektów? Czy efekty popularyzacyjne osiągane niewątpliwie z okazji takich wystaw nie liczą się w ogólnym rachunku. J. W.

JAN KOPROWSKI

ludzie i książki

MONOGRAFIE O PISARZACH

Kiedy czytasz książkę o jakimś wybitnym pisarzu, co cię w niej interesuje najbardziej: jego życie czy jego twórczość? Czy jedno i drugie? Są pisarze, których życie jest szare i zupełnie nieefektowne do tego stopnia, że autor monografii o takim twórcy staje często bezradny wobec zadania: czym, jakimi szczegółami biograficznymi nasycić swoje dzieło? Podobna opinia ustaliła się o Bolesławie Prusie. Nawet autor najbogatszej o nim monografii, Zygmunt Szweykowski, musiał wyznać, że nasza wiedza o panu Głowackim jest bardzo szczupła, a i to, co wiemy, nie jest dostatecznie ugruntowane i w wielu punktach niejasne. Najnowsze rewelacje, jakoby Prus miał syna z lewego łoża, nie są ostatecznie sprawdzone i pewne.

Ale historia literatury zna również pisarzy o wyjątkowo bogatej biografii. Wymieńmy, nie schodząc z ziemi ojczystej, Stefana Żeromskiego, o którego życiu przybywa nam coraz więcej wiadomości. Sam Żeromski zresztą bardzo się o to starał, pisząc „Dzienniki", pełne drobiazgowych faktów z jego własnego życia. Innym pisarzem polskim, o którego życiu wiemy bardzo wiele, jest Henryk Sienkiewicz. I chociaż rodzina jego strzeże jak oka w głowie pamiętników pisarza, które są ponoć niezwykle bogate w intymne wyznania, i tak nasza o nim wiedza jest duża i dość szczegółowa. Wydawnictwo „Wiedza Powszechna" przystąpiło od pewnego czasu do publikowania monografii pisarzy polskich i obcych w specjalnej serii pn. „Profile". Z wcześniej ogłoszonych należy wymienić pracę Aliny Nofer o Sienkiewiczu (3 wydania!), Aliny Brodzkiej o Konopnickiej, Artura Hutnikiewicza o Żeromskim i Haliny Janaszek-Ivaničkowej o Karolu Capku. Obecnie ukazały się trzy nowe pozycje z tej serii. Są to: *Walter Scott* George'a Bidwella, *Mark Twain* Juliana Stawińskiego i *Lew Tołstoj* Antoniego Semczuka.

Naturalnie — najbardziej zainteresowała mnie monografia o Tołstoju. Oto pisarz, którego życiem i twórczością nie sposób się nie interesować. Tołstoj to twórca-instytucja, człowiek-gigant, wywierający ogromny wpływ za życia, a także i po śmierci. Gdy zmarł na stacji Astapowo w roku 1910, świat wstrzymał na chwilę oddech, a w całej Rosji zarządzono żałobę ogólnonarodową. Było to najbardziej doniosłe wydarzenie, które poruszyło nie tylko umysły pisarzy, ale również polityków, naukowców i działaczy. O Tołstoju napisano wiele na świecie. Wiele również w Polsce, gdzie twórczość jego miała i ma zagorzałych zwolenników. O życiu Tołstoja wiemy bardzo dużo, ponieważ nie krył się on z tym, co robił. Tołstoj nie wyznawał owej słynnej maksymy, że „ten dobrze życie przeżył, kto się dobrze skrył". Sam pisał o sobie: „Nie mam tajemnic przed nikim na świecie. Wszyscy mogą wiedzieć, co czynię, jeśli zechcą wiedzieć". Do Jasnej Polany pielgrzymowano z całej Europy. Tołstoj był dostępny dla wszystkich. Miał czas na rozmowy z chłopami i najwybitniejszymi intelektualistami. Tołstoj nie był pisarzem gabinetowym. Był nazbyt bogatą naturą, by nie odczuwać potrzeby obdzielania tymi bogactwami innych. Ten arystokrata miał najbardziej demokratyczny styl życia. Ponieważ nie tylko pisał, ale chciał zaszczepiać swoje idee, chciał wychowywać bezpośrednio, zależało mu na stałych kontaktach z ludźmi. Rozmawiał, aby agitować na rzecz swoich poglądów.

Nic też dziwnego, że Tołstoj był wrogiem hasła „sztuka dla sztuki". Dziś nikt już nie pamięta (albo mało kto) pracy Tołstoja pt. *Co to jest sztuka?* Tołstoj, jak każdy wybitny umysł, wypowiedział wiele sądów skrajnych, niesłusznych, ot choćby słynne opinie o Szekspirze, którego dzieł nie uznawał. Taką też książką są wspomniane rozważania o sztuce. Ale zawiera ona również poglądy, które nie tylko nie zwietrzały, lecz wciąż nabierają znaczenia. Muszę wyznać, iż w czasach mojej młodości pasjonowaliśmy się tą jego publikacją. (Pamiętam stary egzemplarz wydania polskiego w przekładzie, jeśli się nie mylę, Feliksa Kona). Ach, cóż to była za lektura! Czytaliśmy ją z wypiekami na twarzy, przejmując się nie na żarty wywodami wielkiego pisarza. Zachował mi się do dziś kajet z notatkami, gdzie zapisywałem co celniejsze, w moim przekonaniu, myśli i sformułowania z czytanych lektur. Czyż nie miał racji Tołstoj, pisząc: „Uczenie ludzi tego, co jest podobnym do sztuki, oducza ich od pojmowania sztuki prawdziwej". Albo inny cytat, dowodzący dla Tołstoja rzeczy oczywistej, a dla wielu jeszcze dziś wątpliwej: „Oceniać utwór sztuki według stopnia jego piękności, w gruncie tak samo dziwnym jest, jak gdy się sądzi o urodzajności gleby wedle malowniczości jej położenia".

Książka Semczuka o Lwie Tołstoju obudziła we mnie te dawne wspomnienia. Choć jest to monografia o charakterze popularnym i nie zawiera żadnych rewelacji (skąd brać wciąż te rewelacje?), czytałem ją z przyjemnością, wglądając po raz nie wiedzieć który, w to bogate i gęste jak las życie pisarza. Tołstoj należał przecież do tych (nielicznych w wieku dziewiętnastym) autorów rosyjskich, którzy odnosili się ze zrozumieniem, żeby nie powiedzieć: sympatią, do spraw polskich. Jego piękne opowiadanie, „Za co?" o powstańcach polskich, albo mało znany *List do Polaka o patriotyzmie* są niewątpliwymi dowodami zainteresowań Tołstoja naszym krajem i jego losem. Semczuk nie pomija również spotkania Tołstoja z Lelewelem w Brukseli w 1861 roku. Oto, co pisze na ten temat: „Spotkanie z nim — jak można sądzić ze skąpych informacji — wywarło na Tołstoju silne, a nawet wstrząsające wrażenie. Postać wybitnego polskiego historyka i działacza społecznego stała się pisarzowi rosyjskiemu tak dalece bliska, że zakupił w Brukseli jego portret i po powrocie do kraju powiesił w swym jasnopolańskim gabinecie — obok portretów Rousseau i Dickensa".

Kiedyś, przed laty, gdy modne było pisanie takich wierszy, napisałem utwór pt. *Spotkanie Lelewela z Tołstojem*. Dziś bałbym się napisać coś podobnego. Nie dlatego, iż by się zmienił mój stosunek do Tołstoja czy Lelewela. Po prostu zadałbym sobie wpierw pytanie: kogo to może obchodzić? Boję się, że mało kogo. Proszę, aby za ostatnie zdanie nikt się na mnie nie obrażał. Ani czytelnicy, ani poeci.

CZY SZEKSPIR BYŁ W RAWIE MAZOWIECKIEJ?

TADEUSZ SZEWERA

W Rawie Mazowieckiej stał ongiś potężny zamek obronny, wzmocniony czterema ośmiokątnymi basztami. Wzniósł go Kazimierz Wielki, umocnili zaś i rozbudowali książęta mazowieccy, którzy tutaj mieli swą siedzibę. Niestety, do naszych czasów rawskie zamczysko nie dotrwało. Rozsypały się w gruzy szerokie na dwa metry mury, zapadły się w ziemię trzy narożne wieże, zarosła trawą fosa. Dziejowym burzom oparła się jedynie południowa baszta i ona jedynie świadczy dzisiaj o potędze zamku i jego pięknej, czternastowiecznej architekturze.

Właśnie w tej samotnej baszcie zamkowej, rozmiłowani w minionych dziejach Rawy mieszkańcy, urządzili skromne muzeum. Pościągali skąd się tylko dało dawne dokumenty, starodruki, sztychy, obrazy i broń, poukładali to wszystko chronologicznie i w ten sposób ocalili, przynajmniej częściowo, od zapomnienia historię swego miasta.

Lecz prócz dokumentów przetrwały w Rawie Mazowieckiej również i legendy, dotyczące nie istniejącego zamczyska, w myśl zasady — że „słowo jest silniejsze od murów". Zwłaszcza jedna z tych legendarnych opowieści, sięgająca do drugiej połowy XIV wieku zwraca na siebie szczególną uwagę. Bowiem miłość, zazdrość i tragiczny jej finał, posłużyły za kanwę do utworów literackich wielu świetnym pisarzom, a między innymi — jak twierdzi Stanisław Koźmian i jak wzmiankuje Zygmunt Gloger — także i wielkiemu Szekspirowi. Obaj piszą, że wydarzenia i dramat, których świadkami był rawski zamek, stanowią osnowę powstałej przypuszczalnie w 1611 roku „Zimowej powieści" — „The Winter's Tale".

W jaki sposób wydarzenia z rawskiego zamczyska trafiły do szekspirowskiego dramatu? Był wielki William w Rawie Mazowieckiej, czy nie był? — oto jest pytanie.

Nim jednak spróbujemy sobie na nie odpowiedzieć, sięgnijmy do legendarnej, już dzisiaj opowieści z mazowieckiego zamku. Dlaczego Stanisław Koźmian tłumacz dzieł scenicznych angielskiego dramaturga upiera się, że „Powieść zimowa" to tragedia Ziemowita księcia mazowieckiego i jego żony Ludmiły? Dlaczego Zygmunt Gloger uważa, że przypuszczalnie w Rawie rozegrał się w XIV wieku dramat, odtworzony następnie w początkach XVII wieku przez Williama Szekspira? I dlaczego za nimi powtarzają tę wersję rawscy historycy? Czyżby istotnie była to prawda?

Sięgnijmy zatem do legendarnej już dzisiaj opowieści z mazowieckiego zamku. Przytoczę ją zaledwie w skrócie, po to, byśmy mogli ją porównać z fragmentami szekspirowskiej „The Winter's Tale".

Za czasów rządów króla Kazimierza Wielkiego panował na Mazowszu książę z rodu Piastów — Ziemowit III, syn księcia czerskiego Troidena. Mazowsze nie należało jeszcze wówczas do państwa polskiego, uzależnione było bowiem częściowo od króla Czech. Toteż nie zdziwią nikogo częste wizyty mazowieckich książąt na dworze praskim, lub zwracanie się o pomoc do czeskiego monarchy, gdy Mazowszu groził najazd Krzyżaków i Litwinów.

Zależność od Czech — jak wiadomo — skończyła się w roku 1350, kiedy to książęta mazowieccy nie mogąc powstrzymać wielkiego najazdu litewskiego księcia Kiejstuta, uciekli się o pomoc do króla Kazimierza Wielkiego. Rozbici pod Sochaczewem na głowę Litwini pierzchnęli, a książęta mazowieccy złożyli hołd polskiemu monarsze. W pięć lat później Ziemowit III złożył z kolei Kazimierzowi Wielkiemu hołd lenny z całego Mazowsza. Ziemia Rawska weszła w skład państwa polskiego.

Nim to jednak nastąpiło, ów Ziemowit III, przybył pewnego roku do Pragi Czeskiej na dwór króla Karola IV, późniejszego cesarza, by prosić go o pomoc zbrojna przeciwko Krzyżakom. Mazowiecki książę był już wtedy wdowcem; jego pierwsza żona, niezbyt kochana Eufemia, nie żyła od kilkunastu miesięcy. Nic więc dziwnego, że książę stęskniony za prawdziwą miłością spoglądał łaskawym okiem na niewiasty.

W tym czasie na dworze Karola IV przebywała słynna z urody księżniczka śląska — Ludmiła. Książe zakochał się „na śmierć" i niebawem Mazowsze było świadkiem hucznych zaślubin książęcej pary. Ale, że intrygi zawsze były przywilejem dworów, więc i w tym wypadku nie pozostawiono w spokoju zakochanej pary. Wypadło tak, że Ziemowit musiał się udać na Śląsk z wizytą do księcia Cieszyńskiego. Będąca w odmiennym stanie Ludmiła nie pojechała z mężem. Obawiano się, że trudy podróży odbiją się na stanie jej zdrowia. Pozostała więc w zamku płockim i tu czekała na powrót swego pana i męża. Nie przeczuwała nieszczęśliwa, że nad jej piękną głową gromadzą się groźne chmury. Bo oto w czasie uczty na zamku cieszyńskim Ziemowit usłyszał o niewierności swej kochanej Ludmiły. Plotkarze i intryganci posunęli się tak dalece w swej podłości, że nawet powątpiewali wobec Ziemowita, czy to on jest faktycznym ojcem mającego narodzić się potomka.

W okropny gniew wpadł Ziemowit. A kiedy złośliwcy podszepnęli mu jeszcze, że kochankiem Ludmiły jest jeden z najwierniejszych dworzan, książę natychmiast rozkazał uwięzić niewierną małżonkę. Jednocześnie wydał rozkaz, by końmi rozszarpano owego dworzanina. Lecz ten zdołał zbiec poza granice kraju.

W zamkowej baszcie za zaryglowanymi drzwiami, przebywała Ludmiła kilka miesięcy. Przez ten czas gniew wzmagał się w Ziemowicie, podsycany krążącymi plotkami. Nie pomogły żadne tłumaczenia, dla zawziętego księcia nie miał znaczenia nawet głos rozsądku płynący z Czech, z cesarskiego dworu, a nawołujący go do opamiętania. I kiedy Ludmiła szczęśliwie powiła w zamkowym więzieniu syna Henryka, książę kazał oprawcom wykonać na niej — wydany znacznie wcześniej — wyrok śmierci. Pewnego ranka znaleziono księżnę martwą ze śladami uduszenia na szyi. Okrutnym okazał się Ziemowit i dla swego syna. Kazał wywieźć go z zamku i oddać na wychowanie chłopce z podrawskiej wsi. Te dwa ohydne postępki nie wyrwały jednak księcia z zaślepienia. Kiedy więc dowiedział się o powrocie dworzanina, z którym rzekomo zdradzała go żona Ludmiła, pochwycił go i rozerwał końmi.

Wieść o zbrodniach Ziemowita obiegła Mazowsze, dotarła na dwór Karola czeskiego, do zamków Piastów śląskich, a także i do księżnej pomorskiej Małgorzaty, przyrodniej siostry księcia mazowieckiego. Bojąc się, by w przystępie dalszego szaleństwa nie dokonał on dzieciobójstwa, porwała małego Henryka i wychowywała u siebie w Szczecinie.

Minęło wiele lat. Oszczerstwa rzucane przez dworskich intrygantów na piękną Ludmiłę okazały się zwykłym kłamstwem. Podobieństwo syna Henryka do księcia mazowieckiego było tak uderzające, że nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Żałował teraz swego czynu Ziemowit III, lecz był to żal spóźniony. Nie pomógł wspaniały pogrzeb i budowa grobowca dla księżny Ludmiły; nie pomogła miłość, jaką otoczył swego syna. Do końca życia dręczyły go wyrzuty sumienia.

Tak pokrótce przedstawia się przebieg wydarzeń związanych z ośmiokątną basztą rawskiego zamczyska, wydarzeń na pewno prawdziwych chociaż przyobleczonych w szatę legendarną. Dramat pięknej i wiernej Ludmiły, dramat zaślepionego i wierzącego plotkom księcia Ziemowita, porwanie prawowitego syna w obawie przed zbrodniczym ojcem, przenoszenie się akcji z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, to wszystko mogło zafrapować niejednego pisarza i to także zapewne skłoniło Szekspira do napisania utworu scenicznego.

Pytanie tylko, czy istotnie są podstawy, aby tak twierdzić i jaką drogą polskie realia trafiły do Anglii? Czy Szekspir był w Polsce i przejeżdżając przez Rawę Mazowiecką zatrzymał się na kufel piwa w przydrożnej karczmie i tam usłyszał legendę o zamku, stojącym nad rzeką Rawką? Pytanie — „był, albo nie był" — potraktujmy raczej żartobliwie. Na pewno nie był nie tylko w Rawie Mazowieckiej, ale również i w Polsce. Musiał wobec tego o tej tragedii usłyszeć, względnie gdzieś o niej przeczytał. I to ostatnie przypuszczenie jest najprawdopodobniejsze. Jak twierdzą „szekspirolodzy" znakomity dramatopisarz czerpał wątki do swych utworów przeważnie z rzeczy już napisanych. Po prostu przeczytane utwory inspirowały Williama. Takich źródeł inspirujących Szekspira można przytoczyć dużo. Niestety, nigdzie nie znajdujemy wzmianki o tym, że „Powieść zimowa" narodziła się na podstawie lektury polskiego pochodzenia. Wręcz odwrotnie — w przypisach do ostatniego wydania dzieł Szekspira czytamy: „Głównym źródłem fabuły „The Winter's Tale" była niewątpliwie wydana w roku 1588 nowela Roberta Greene'a pt. „Pandosto. The Triumph of Time" — (Pandosto. Triumf czasu").

Być może, że tak jest — ale dlaczegóżby nie potraktować z pewnym sentymentem domysłu Stanisława Koźmiana, który sugeruje, iż Szekspirowi dobrze była znana tragedia śląskiej księżniczki i mazowieckiego księcia.

Analogie są bowiem aż nazbyt wyraźne, chociaż wzbogacone o fikcję i fantazję autora. Bądź co bądź dramat Szekspira powstał w 250 lat później, i wersje, które do tego czasu przetrwały, a przetrwały na pewno, musiały ulec zniekształceniom.

Już początek dramatu Szekspira do złudzenia przypomina nam zdarzenia z Rawy Mazowieckiej. Moglibyśmy

przechodząc fragment sztuki po fragmencie przeprowadzać dalsze porównania i na pewno wypadłyby one na korzyść wersji, że „Powieść zimowa" oddaje przebieg tragedii z rawskiego zamczyska. Tylko zakończenie różni się poważnie od ponurej rzeczywistości.

Happy - end szekspirowski jest pogodny, król Leontes przekonuje się o niewinności królowej, która jak się okazuje nie umarła naprawdę, odnajduje się również porzucone nad czeskim morzem królewskie dziecko. Rzekomy uwodziciel, król czeski Polikseneś i zazdrosny król sycylijski Leontes znowu są przyjaciółmi. Nie zmienia to w niczym faktu, że autor musiał znać rawską legendę i na niej budował akcję swego dramatu.

Pamiętajmy o tym ilekroć będziemy czytać, względnie oglądać na scenie „The Winter's Tale" — „Zimowa powieść" — dzieło niezrównanego Williama Szekspira, który nigdy nie był w Rawie Mazowieckiej.

Władysław Rynkiewicz

KONFERENCJA u MECENASA

Zasiedliśmy zatem w fotelach. Falski przyjrzał się nam z pewnej odległości z czujnością fotografa, któremu zależy aby jego klienci byli prawidłowo upozowani do zdjęcia. Nawiedziło mnie krępujące uczucie, że nasz obrońca bierze nas w swoją opiekę, żeby nie powiedzieć — we władzę, i poczułem się jak pacjent, który zgodził się zasiąść w fotelu dentystycznym i czekając na usunięcie zęba stracił swobodę ruchów, poddany władzy lekarza-stomatologa, od którego orzeczeń nie ma odwołania. Taborski również (sądząc po jego minie) czuł się niepewnie i rozglądał się z wyrazem posępnej nieufności po gabinecie. Falski przychwycił przelotne spojrzenie Taborskiego na obraz na honorowym miejscu na ścianie nad fotelem za biurkiem (duży okrągły portret — fotografia w złoconych ramach, przedstawiający wąsatego jegomościa z bródką, ostrzyżoną w klin, z plastronem w miejscu krawata i z wysokim staromodnym sztywnym kołnierzykiem z odgiętymi różkami) i rzucił od niechcenia, jednak tonem człowieka, który przywiązuje znaczenie do tradycji rodzinnych: — Mój ojciec, mecenas Witold Falski senior, szambelan papieski i dziekan Rady Adwokackiej. — Wskazał przy tym laską z białą kościaną rączką na portret. Rączka miała kształt wydłużonego łba wyżła. Była to prawdopodobnie laska pamiątkowa, odziedziczona po ojcu, który używał jej za swych kawalerskich czasów jako jednego z rekwizytów ówczesnej elegancji obok dewizki i monokla, zdobiących dandysa czy birbanta, czy jak to się tam wówczas mówiło.

— No, ale do rzeczy, moi panowie! — stuknął laską w podłogę. — Dyrektor Castellaz zapoznał mnie szczegółowo z przebiegiem awarii. Przeglądałem także akta sądowe, jestem więc dostatecznie zorientowany we wszelkich minusach technologicznych tej zagadkowej sprawy. Pozostaje zatem do omówienia tylko sposób obrony. — Mówiąc to Falski spacerował po gabinecie, chodził i wracał, powiedziałbym, człapał jak ciężkie duże stare zwierzę wlokąc nogi po wyszarzałym dywanie, chodził i rozprawiał niskim dudniącym potężnie basem, od którego huczało nam w głowach. — Jestem zdania, że tłumaczenie panów, że uchybienia formalne, jakich się panowie niewątpliwie dopuściliście, nie miały wpływu na zaistniały wypadek, że takie tłumaczenia nie przekonają nikogo, ani prokuratora, ani sądu. Tak samo, jak nie przekonały mnie. — Spojrzał na nas surowo. — Trzeba więc szukać innego argumentu. Jakiego? Otóż to, jakiego? — zadał sobie i nam to pytanie, żeby na nie natychmiast odpowiedzieć. — Dyrektor Castellaz twierdzi, że awarię spowodowała rozmyślnie osoba trzecia! — — skupiony, agresywny, dynamiczny, chodził ciężko po gabinecie, który napełniał grzmiącą argumentacją. I w ten sposób właśnie, głosem donośnym i arbitralnym wyłożył nam swój pogląd i koncepcję obrony, opartą na informacjach pochodzących od Castellaza.

— Celem udowodnienia tych wszystkich okoliczności, zażądamy wezwania w charakterze świadka...

Poszperał w aktach, odszukał notatkę nabazgraną na kartce wyrwanej z bloku-notesu i odczytał imię, nazwisko, adres.

Milczeliśmy. W naszym ostrożnym milczeniu było zakłopotanie i rezerwa, jaką niekiedy okazuje audytorium bardzo szanownemu prelegentowi, którego poglądów nie podziela, jednak woli milczeć, zarówno przez wzgląd na autorytet mówcy, jak i ze względu na ewentualność ostrej zaskakującej odprawy z jego strony.

Grzmiący głos Falskiego wypełniał całkowicie akustyczną przestrzeń gabinetu tak, że tylko w krótkich przerwach między zdaniami słychać było natrętne i hałaśliwe ćwierkanie chmary wróbli, trzepoczących skrzydełkami w gęstwie liści dzikiego wina na obrośniętej nim częściowo szczytowej ścianie oficyny w podwórzu. Z chwilą jednak, gdy po zaczerpnięciu oddechu Falski zaczynał nowe zdanie, świergot wróbli przestawał dochodzić do naszych uszu, zagłuszony potężnym organem głosowym mecenasa. — Więc ja panom teraz powiem, jak sobie wyobrażam, jak to się odbyło. — Zaczął znów krążyć po gabinecie podpierając się laską. — Zdunek odkręcił nie ten zawór, który polecił mu odkręcić Michalak, pokłócił się o to przy pracy z Michalakiem, pobił go i popchnął. — Sprężyście wyciągniętą ręką zadał niewidzialnemu przeciwnikowi cios tak gwałtowny, że mankiet białej koszuli mecenasa wyślizgnął się z rękawa marynarki. — Popchnął tak nieszczęśliwie na schody, że brygadzista runął i wyzionął ducha. — Falski spojrzał na nas sugestywnie otwartymi szeroko i zaokrąglonymi ze zgrozy oczami, jakby nas chciał przerazić tym co się stało w podziemiach oddziału SK7-c. — Widząc skutki swego czynu, które przeszły jego oczekiwania, Zdunek zląkł się i dla zatarcia śladów zabójstwa i upozorowania nieszczęśliwego wypadku otworzył zawór spustowy zbiornika z wodorosiarczkiem.

Taborski z pięściami na kolanach, poddany trochę do przodu, lecz bez napięcia mięśni bark i pleców, raczej zamknięty w sobie tak, że pod pachami brązowej marynarki tworzyły się fałdy, wzniósł brwi i znieruchomiał w wyrazie niepomiernego zdziwienia, które zdawało się koncentrować nad wzniesionymi brwiami, w zmarszczkach wysokiego czoła.

Falski skończył, twarz mu spochmurniała. — Zdaje się, że pan inżynier Taborski ma pewne wątpliwości — zapytał podejrzliwie i zmrużył szyderczo powieki. — Ach, ta „inteligencja techniczna"! — westchnął z komicznym ubolewaniem. Była to jowialna aluzja do pochodzenia Taborskiego. — Zawsze mam z nią kłopoty. — Zaśmiał się z fałszywą dobroduszności. — A więc, proszę, niech się panowie wypowiedzą! — zachęcał nas nieco zbyt energicznie, co nas peszyło. Tonem głosu podkreślał nasze niezaprzeczalne prawo do swobodnej wypowiedzi, nie próbował jednak ukryć lekkiej urazy z powodu naszej milczącej dezaprobaty. — Proszę bardzo, śmiało! — namawiał niecierpliwie jak nauczyciel przemawiający do zastraszonych uczniów. Śmiało, proszę — mówił chodząc po gabinecie po przekątnej tam i z powrotem.

Ktoś spuścił wodę w wygódce i w głębokiej ciszy mieszkania słychać było gulgotanie w rurach.

— Taak! — powiedział Falski przeciągle i zatrzymał się na środku pokoju. Wsparty obiema rękami na lasce stał chwilę w poważnej zadumie. — Taak! — powtórzył. — To kompliku je sprawę. — Cedził słowa. — Panowie orientują się, naturalnie, że różnica poglądów między obrońcą a klientem w takiej zasadniczej kwestii uniemożliwia... — nie dokończył zdania.

— Z drugiej strony musimy sobie powiedzieć otwarcie, co chciałbym podkreślić z naciskiem, że nie widzę innego sposobu obrony panów. To znaczy, ja nie widzę innego sposobu. Może kto inny? — zastrzegł się z ukrytą obraźliwością. — Ale ja, niestety, nie widzę! — Rozpostarł ramiona dotykając gumowym stemplem laski szyb, za którymi stały uszeregowane jak pluton żołnierzy grube wolumina Dziennika Ustaw w szarych uniformach płóciennej oprawy na półkach biblioteki.

— W tym stanie rzeczy obawiam się jednak, czy nie należałoby zastanowić się poważnie — opuściwszy bezradnie ręce zasiadł z powrotem w fotelu.

— Ależ, co znowu, panie mecenasie! — zerwałem się z fotela gromiąc spojrzeniem Taborskiego, który pochylił głowę i jak skarcony sztubak patrzył w dywan. — Nie zrobi pan tego, mecenasie! — powiedziałem z grzecznościowym niepokojem, gdyż nie brałem groźby Falskiego poważnie.

Kwadrat słońca spłynął z podłogi. Nikt z klientów nie czekał w salonie z fotelami w pasiastych pokrowcach. Minęły czasy, kiedy służąca musiała w godzinach przyjęć dostawiać krzesła do salonu dla tych, którzy dobijali się o przyjęcie ich sprawy przez znakomitego obrońcę. Dzisiaj młodzi adepci Temidy stosowali środki zdobywania klienteli i metody obrony, którymi stary mecenas gardził, obiecywali rzeczy niemożliwe do spełnienia, zapewniali o swych znajomościach z sędziami, z którymi jakoby co niedzielę spotykali się przy stoliku brydżowym, zaręczali o swych stosunkach w prokuraturze, gdzie posiadali rzekomo wpływy i „chody", i mogli wystarać się szybko o zwolnienie z aresztu tymczasowego osób, zatrzymanych pod zarzutem popełnienia przestępstwa. Dzisiaj, gdy zabrakło wielkich sensacyjnych procesów w dawnym stylu i palestra musiała kontentować się pospolitymi, szablonowymi sprawami o nadużycia w spółdzielczych sklepach PSS lub MHD albo o kradzież mienia społecznego w fabrykach, dzisiaj nikomu nie była potrzebna piękna sztuka obrończa i krasomówstwo mecenasa. Falski wyrzucił za drzwi klienta (opowiadała mi jedna z jego sióstr, jedna z tych staruszek z siwą trzęsącą się głową, które zaglądały przez otwarte drzwi na korytarz i znikały, spłoszone widokiem przybysza), który po omówieniu sprawy i wysokości honorarium zapytał, czy aby pan mecenas ma chody? Nic dziwnego, że praktyka zaczęła się kurczyć. Nie, bynajmniej, ani przez chwilę nie sądziłem, żeby Falskim powodowała jedynie chęć zainkasowania honorarium. On był tylko wpatrzony w przeszłość, w tłade widma słynnych zbrodniarzy, złowrogie w ich demonicznej sile, w obronie których występował wespół ze swymi starszymi wówczas znakomitymi kolegami. Wspomnienia z tych procesów przechowywały się w pamięci wymierającego pokolenia i na pożółkłych arkuszach postrzępionych akt sądowych, spoczywających na półkach archiwalnych, wspomnienia z procesów, w których Falski zasłynął jako złotousty mówca i znakomity obrońca. Domyślałem się, że i na starość ulegał namiętności pociągającej go na ławę obrończą, i że teraz u schyłku kariery, u schyłku życia, kiedy człowiekowi wszystko wymyka się z rąk, widział w naszej sprawie dar losu, i z góry przygotowywał się do wystąpienia w głośnym, a tak rzadkim w dzisiejszych czasach procesie, w którym raz jeszcze, kto wie czy nie ostatni, będzie mógł zabłysnąć. Dlatego groźbę zrzeczenia się pełnomocnictwa uważałem za manewr. Usłyszałem zacietrzewiony świegot wróbli w dzikim winie za oknem. Tutaj, w czterech ścianach, oklejonych wypłowiałymi tapetami, które kiedyś były granatowe, zapadła cisza. Taborski przeciągnął dłonią po twarzy, rozprostował się w klubowym fotelu, lecz i tym razem jeszcze nie powiedział nic, tylko spojrzał pytająco na mnie. Domyślałem się, że jak każdy laik w rozmowach z prawnikiem, wyjaśniającym jakąś skomplikowaną kwestię prawną, czuł się bezradny i w pewnym stopniu onieśmielony. Ale właśnie z tych samych względów i ja nie mogłem mu pomóc. Taktyka, sposób obrony, procedura, wszystko to było dla mnie chińszczyzną.

— Czy można wiedzieć panie inżynierze — zapytał mecenas tonem nieco przesadzonej uprzejmości, pod którą kipiała irytacja. Falski również zapewne doświadczał skutków podwyższonego ciśnienia i nagłego starczego gniewu (dźwigał on przecież na plecach siódmy krzyżyk) na ignoranta w dziedzinie prawa, który ośmiela się choćby milcząco poddawać w wątpliwość zdanie wytrawnego obrońcy, znawcy prawa i specjalisty w sprawach karnych, — czy można wiedzieć, jakiego rodzaju są pańskie, hm, objekcje?

Taborski z nogą założoną na nogę i rękami splecionymi na kolanie pochylił się nieco niżej jak gdyby pod ciężarem odpowiedzi, której od niego oczekiwano.

— Pańskie obiekcje czyli mówiąc prościej — zastrzeżenia.

Taborski splótł i zacisnął palce tak, że zatrzeszczały stawy.

— Pan ma pewne wątpliwości? — dopytywał się z nieco ironiczną dociekliwością Falski. — Ale co do czego, proszę? — powtórzył i nie czekając na odpowiedź, nie pozwalając nawet Taborskiemu dojść do głosu wybuchnął śmiechem, który unicestwił rozmówcę odbierając mu wszelką chęć dyskusji. — Ach, ci panowie z politechnicznym wykształceniem! Zawsze miałem z nimi i mam kłopoty — mówił z komicznym ubolewaniem, lecz przyjaźnie, z ojcowską troską. — Drogi panie, przecież tłumaczyłem panu przez pół godziny, że jest to jedyny sposób wygrania procesu.

Taborski poderwał się z fotela, zesztywniał i wbił w mecenasa spojrzenie piwnych oczu, w których błyszczały twarde, nieruchome źrenice. Domyślałem się, że jakaś przeszkoda tamowała swobodę jego wypowiedzi. Obawiałem się, że ujawnienie argumentacji, którą zamierzał zaszachować Falskiego, mogłoby się okazać szkodliwe dla naszej sprawy i niestosowne w tej kancelarii, gdzie obowiązywały pewne odwieczne normy czy obyczaje czy, wreszcie, tradycje obrończe. Przychodząc tutaj z prośbą o zastępstwo przed sądem godziliśmy się niejako z góry z przyjętymi i uznanymi powszechnie zasadami taktyki i strategii obrończej, i wszelki protest w tym względzie wydawał się niewłaściwy, a nawet — nieprzyzwoity tak, jak nieprzyzwoitością byłyby zastrzeżenia wobec chirurga ze strony pacjenta znajdującego się na stole operacyjnym.

— Czy można wiedzieć — zapytał jednak Taborski na czym dyrektor opierał swoje informacje, że...

Mecenas rozłożył ręce. — Tego to już nie wiem. Sądzę jednak, że możemy opierać się na zdaniu pana dyrektora Castellaza.

Taborski objął obiema rękami grube, przetarte na brzegach skórzane oparcia fotela, podniósł się nieco i poddany do przodu zawisł w pozycji wyrażającej sprzeciw, który utrzymywał go jeszcze przez chwilę w sztywnej postawie, wyprostowanego na brzegu skórzanych poduszek, po czym na pięcie opadło i Taborski zsunął się miękko w głąb klubowego fotela.

Unikając krytycznych spojrzeń mecenasa przeniosłem wzrok na sufit z plafonem i ornamentacjami ze stiuku i obserwowałem kołyszącą się w rogu pajęczynę.

— A więc? — Falski uniósł dłoń i z powrotem opuścił ją ciężko, z klaśnięciem na rękę, którą trzymał na kościanym łbie wyżła na pamiątkowej lasce.

d. c. n.

ŚLADY

HENRYK HARTENBERG

KROPLA ŚWIATŁA

Nad rzeką
Szeptałem słowa
Nietknięte czasem
Wywołując w dalekiej przestrzeni
Echo
Wezbrane dzieciństwem
Nad rzeką
Płynącą przez labirynt wieków
Odszukałem ślady
Własnych księżyców
I godzin
W których spoczywa sen

I oto cisza się wypełnia
Oddechem światów
Ocalałych
W mej kruchej pamięci.

Głosem wiatru
Dotknąłem snu
Pulsującego na twych wargach
Wilgotnych
Od kropli światła.
Ciszą powietrza
Musnąłem obrazy
Drzemiące w nas
Echem jutrzejszych powtórzeń
A potem
Już ruchem cieni
Noc wchodziła w ziemię
Tak jak ja
W drżenie twoich oczekiwań.

O, jak daleko są żywi
Których kochamy.

W tym roku telewizja radziecka obchodzi jubileusz 25-lecia swego istnienia. W marcu 1938 roku nadano pierwszy program telewizyjny. Dzisiaj ZSRR posiada dziesiątki milionów teleabonentów. Z każdym rokiem wzrasta ilość stacji nadawczych oraz ośrodków programowych. W 1965 roku telewizja radziecka będzie miała do dyspozycji 180 telewizyjnych ośrodków nadawczych.

☆

Jedna z największych amerykańskich wytwórni filmowych Metro-Goldwyn-Mayer zezwoliła na wyświetlanie wyprodukowanych filmów, sprzed 1948 roku (naturalnie nie gratis). Zezwolenie obejmuje zarówno stacje telewizyjne w USA, jak i za granicą. Obecnie sporządzono już katalog obejmujący 700 filmów, które mogą być wykorzystane w telewizji. Jest nadzieja, że również pozostałe wytwórnie amerykańskie wydadzą podobne zezwolenia.

☆

Okazuje się, że z porankami filmowymi już dawno wyprzedzili nas — łodzian — Węgrzy. Tam, podobnie jak u nas dwa razy tygodniowo w godzinach przedpołudniowych wyświetlane są filmy fabularne. Możemy się pocieszyć, że Węgry, zostały zdystansowane przez... Katowice.

☆

Na zdjęciu: Najpopularniejsza obecnie gwiazda francuska — Dany Saval, często występująca w telewizji RTF (u nas znana z filmu „Światła na mordercę"). T. W.

Fotel telemana

KOBIELA i FEDOROWICZ czyli BARDZO DOBRA ZABAWA

Z maniakalnym wprost uporem śledzę wszystkie programy rozrywkowe. Są one wciąż — cokolwiek by się nie powiedziało na ich usprawiedliwienie — piętą achillesową naszej telewizji, chociaż wydawać by się mogło, że nie ma nic prostszego, nic łatwiejszego niż zrobienie właśnie takiego „lżejszego" programu, w którym powinny grać a skrzyć się: dowcip i humor i które powinny cieszyć ludzi dobrą muzyką, rytmem i wykonaniem. Takie są zresztą założenia każdego programu rozrywkowego, tylko że nie każdy program potrafi im sprostać.

Jerzy Gruza — to nazwisko „telewizyjne" jako reżyser dawał oprawę wielu audycjom. Może nawet zbyt wielu różnorodnym tematycznie. Od „Kobry", poprzez spektakle teatralne do audycji publicystycznych — bardzo szeroki wachlarz zainteresowań, no i... umiejętności. Teraz Jerzy Gruza pokusił się o zrobienie programu rozrywkowego.

Bawiliśmy się przy jego programie w ostatnią sobotę (19. XI.). Poznaliśmy w nim Bogumiła Kobielę — „szefa" i Jacka Fedorowicza — „personel". Zobaczyliśmy bardzo dużo gagów — (eksperymentalnych, bo „telewizyjnych"), które — jak to się mówi — rozśmieszały do łez. Żywy, dowcipny tekst, dużo improwizowanych inteligentnie sytuacji — jednym słowem: świetny program, objawienie rozrywki na małym ekranie. Nic z tandety, nic z efekciarstwa, nic z grania „pod publiczkę".

Program wypełniło właściwie tylko dwóch aktorów: Bogumił Kobiela i Jacek Fedorowicz, ale przy czynnym współudziale zebranej publiczności w sali teatrzyku STS. Ta publiczność mimowiednie stanowiła podstawę programu: czynnie w nim uczestniczyła grając niejako jedną z trzech głównych ról. (Dwie pierwsze to Kobiela i Fedorowicz). Doskonały — a przy tym nowy pomysł, który szkoda by było zmarnować. Dlatego proponuję, by program Gruzy „Poznajmy się" uczynić cyklicznym, tak jak „Rymy, rytmy i nastroje" czy „Kabaret starszych panów". Kobiela i Fedorowicz z powodzeniem mogą się stać telewizyjnym wydaniem Pata i Patachona.

TELEwizja SZTUKA *dla* SZTUKI?

„Moja pozycja recenzenta telewizyjnego została ostatnio niebezpiecznie zachwiana, sytuacja o tyle trudna, że kryzys pojawił się nie na podstawie ingerencji tzw. czynników, ale wyrósł ze smutnej praxis codzienności. Świat pojęć, wyobrażeń i ambicji naszej telewizji zaczął przygniatać mnie swoją surową niezmiennością, swoją doskonałą, utrzymaną w tak chłodnym czy nobliwym tonie obojętnością na wszelkie przejawy krytyki czy uznania. Cokolwiek niezmiennego w naszym świecie, jest tym niewątpliwie to, co kryje się za kulisami szklanego ekranu. Rzecz sama w sobie wielka i wspaniała, lecz równocześnie przerażająca. Cudowna obojętność, maniery angielskiego dżentelmena — czy to nie zjawisko godne uwagi w naszym ruchliwym, niespokojnym i ustawicznie pełnym pośpiechu życiu? Wprawdzie stanowisko to interesujące z punktu widzenia estetycznego, jest nader skromną pociechą dla ludzi czynu — do jakich zaliczają się z urzędu recenzenci — nie mniej chociażby w charakterze unikatu stanowić może rzecz godną uwagi".

Zacytowałem tutaj szeroko wstęp felietonu Ajaksa — telewizyjnego recenzenta tygodnika „Argumenty" (nr 41, „Hulanki i swawole czyli o recenzentach telewizyjnych"). Pragnę do jego uwag wtrącić swoje trzy grosze. Obojętność telewizji, jej wyniosłe dżentelmeństwo w stosunku do wszystkich telewizyjnych recenzentów (bo krytykami jeszcze nie jesteśmy, zresztą to lepiej, gdyż o krytykach brzydko się teraz mówi), jest godne podziwu i zastanowienia.

Istniał ongi taki kierunek w sztuce, którego wyznawców nazywało się „parnasistami". Byli to ludzie, artyści i twórcy, gardzący maluczkimi, tworzyli zaś swoją sztukę jedynie dla... sztuki. Otóż telewizja do złudzenia przypomina mi super-parnasistę. Jej sztuka, co prawda, przeznaczona jest dla milionów odbiorców, lecz jednocześnie telewizja nie szuka z nimi ani kontaktu, ani zabiega o ich opinie, czy sądy. My, którzy zajmujemy się pisaniem o telewizji, (niejako w imieniu odbiorców) — albo lepiej: my, którzy zajmujemy się zawodowo błądzeniem po manowcach — czyli wypowiadaniem opinii o programie telewizyjnym, jesteśmy w sytuacji co najmniej humorystycznej. Humorystycznej jednakże nie dla nas. Z jednej bowiem strony powinniśmy się starać o zachowanie jak największej porcji obiektywizmu w swoich — jeszcze nie zawsze do końca doskonałych i kompetentnych uwagach, z drugiej zaś strony zdajemy sobie sprawę, że nasze wysiłki to po prostu marnowanie czasu i zdrowia — ponieważ pozostają one bez najmniejszego oddźwięku. Inaczej — do recenzenta telewizyjnego można zastosować przysłowie, że zajmuje się on rzucaniem grochu o ścianę, co nie jest zajęciem ani prestiżowym, ani przyjemnym. Jednak recenzent telewizyjny jest często — w zależności od sytuacji — albo grochem, albo ścianą. Ścianą wtedy, kiedy czytelnicy piszą do niego listy z prośbami w stylu: „Zróbcie coś, aby więcej nie powtórzył się spektakl w rodzaju „Jego małej dziewczynki", grochem zaś wtedy, gdy sam zanosi błagania na łamach swojego pisma: „Zróbcie coś, żeby więcej nie było spektaklu w rodzaju „Jego małej dziewczynki".

Tak, ale to jest dopiero jedna strona medalu.

O tej drugiej pisze również Ajaks. Bo rzeczywiście, jakim sposobem ma się liczyć z sądami recenzentów telewizja, jeżeli te sądy są aż tak znakomicie rozbieżne? Rzadko zdarza się taki program w telewizji, żeby opinie na jego temat były zgodne. Mnie, na przykład, wybitnie nie podobało się przedstawienie Dziewońskiego „Dama od Maxima", podczas gdy to samo przedstawienie wzbudziło zachwyt Leszka Golińskiego z „Trybuny Ludu". A takich przykładów mogę mnożyć w nieskończoność, i nie tylko biorąc za punkt wyjścia swoje własne podwórko (tj. „Odgłosy").

„Jeżeli ich (czyli: recenzentów — przyp. mój) praca ma być czymś więcej i czymś innym niż tylko snuciem sobie a muzom luźnych refleksji ściśle osobistych i zgoła prywatnych enuncjacji, wówczas powstaje co najmniej problem wyboru kryteriów ocen i ich własnego zastosowania. A więc pomyślmy, co nam wspólnie czynić wypada" — kończył Ajaks swój felieton.

Nielatwy to problem i wcale nie najłatwiejsza będzie droga do wzajemnego porozumienia. Głównie dlatego, że recenzent telewizyjny nie ma innego wyboru, jak tylko kierować się własnym — gorszym lub lepszym — odczuciem telewizji, i starać się nadawać swoim prywatnym enuncjacjom kryteria ocen obiektywnych. Z praktyki wiadomo, że to nie wychodzi. Czy jednak należy obwiniać recenzentów? Śmiem twierdzić, że nie.

Telewizja jest wciąż jeszcze nowym, eksperymentalnym gatunkiem twórczości artystycznej. Przypomnijmy sobie, jak bardzo błądzili pierwsi krytycy filmowi. Recenzent telewizyjny znajduje się w analogicznej sytuacji. Czytelnik domaga się oceny telewizji, tymczasem recenzent nie bardzo wie, jakie kryteria ma podłożyć pod swoje oceny. Dlaczego nie wie? Po pierwsze dlatego, że jego kontakt z telewizją jest bardzo luźny: recenzent jest tylko odbiorcą programu i wszystko, co wie o telewizji, pochodzi z małego ekranu. Po drugie dlatego, że telewizja nie stara się zmienić tego wykluczającego się stosunku, (przynajmniej nie widzimy tych starań), zamienić go na stosunek uzupełniający się wzajemnie. Tak i tu się mści ta sztuka dla sztuki — ale wyłącznie na recenzentach, no i na telewidzach. Po trzecie dla tego, że w ciągu długiego już czasu istnienia telewizji nie było — albo przynajmniej ja nie słyszałem — jakiegoś seminarium, poświęconego omówieniu kryteriów ocen sztuki telewizyjnej. (Obawiam się, że i sama telewizja jeszcze nie wie, jakie to winny być te kryteria...). Takie są, moim zdaniem, trzy grzechy główne, powodujące chaos wśród opinii recenzentów telewizyjnych.

KOWALSKI

EMIL KROTKIJ

OKRUCHY

Życie to nie autobus: nie zatrzymuje się na żądanie.

*

Takt jest nieodzowny nie tylko w muzyce.

*

Niczego nie brał na swoją odpowiedzialność. Mówiąc, że ziemia się kręci, dodawał: — Według słów Kopernika...

*

W swoim futerku przypominała tego drapieżnika, z którego zostało ono zdarte.

*

Bohaterzy jego powieści w takim samym stopniu byli podobni do żywych ludzi, jak suszone owoce do świeżych.

*

Popielniczka była tak wspaniała, że z szacunku dla niej rzucał niedopałki na podłogę.

*

Tak wiele pił za cudze zdrowie, że stracił własne.

*

Walki bokserskie zawsze oglądał z zadowoleniem. Było mu przyjemnie, że biją innych, a nie jego.

*

Co chwila zerkając na zegarek, zapewniał ją o swojej dozgonnej wierności.

*

Nie każdy, kto żyje śpiewająco, jest śpiewakiem.

*

Nie schowasz się za własne plecy!

*

W życiu jak w pociągu: więcej jest miejsc twardych, niż miękkich.

*

Miłość ich zaczęła się od przypadkowego spotkania w bramie, do której zapędził ich deszcz, i dlatego w ciągu wielu lat małżeństwa zachował nienawiść do deszczowej pogody.

*

Piwo pieniło się jak morze, nic więc dziwnego, że pijących nawet huśtało.

*

Patrzą wszyscy, ale widzą nieliczni.

*

W jego działalności nie było żadnego systemu — oprócz nerwowego.

*

Dzieci oglądały zwierzęta w Zoo jak ilustracje do bajek.

*

Każda jego komedia była dramatem dla reżysera i tragedią dla widzów.

*

Ostrożny redaktor! Nawet tabliczkę mnożenia drukuje w dziale wypowiedzi dyskusyjnych.

*

Pióra ten pisarz ma! Brakuje mu tylko skrzydeł!

*

Gdy się słucha piłkarzy, ma się wrażenie, że całe dzieje ludzkości — to walka o pierwszeństwo w tabeli ligowej.

*

Dobry pisarz boi się być niezrozumiały, kiepski zaś boi się, że go zbyt łatwo zrozumieją.

*

Minął okres lodowcowy, nastąpił okres lodówkowy.

*

W pokoju panowała taka cisza, że słychać było, jak uchodzi życie.

*

W głupocie ten człowiek tak zakonserwował się, jak futro w naftalinie.

*

Małżeństwo — to pokojowe współistnienie dwóch systemów nerwowych.

*

Wkradł się do literatury jak chochlik drukarski.

Tłum. z ros. J. HUSZCZA

odgłosy TYGODNIA

ERA SAMOOBSŁUGI

Na początku był... wcale nie chaos — na początku był spokój. Potem nastąpiły etapy: kamienia nierozłupanego, elektryczności, wreszcie preselekcyjnej samoobsługi. Nieledwie przy dźwiękach fanfar otwierano samoobsługowe sklepy, szalety i bary. Obok kwitła preselekcja. Manko goniło za mankiem.

Po miesiącach, a może latach okazało się, że kradzież samoobsługowa jest daleko skuteczniejsza od kradzieży preselekcyjnej. W konsekwencji cichutko sklepy samoobsługowe wróciły do tradycyjnych form sprzedaży z tym, że na przykład w sklepie spożywczym przy ul. Gdańskiej 74 pozostała zaledwie jedna trzecia poprzedniej powierzchni przeznaczonej dla kupujących.

Jednym z ostatnich bastionów samoobsługi są autobusy MPK (sam kupujesz bilet, sam się tłoczysz, kliniesz sam lub chórem). Podobno ów system przyniósł tu kolosalne oszczędności (w miejsce 40 konduktorów pracuje 12 kontrolerów oraz około 40 kioskarzy „Ruchu", którzy sprzedają bilety). Czy jednak jest to rekompensatą za poszarpane nerwy pasażerów? A słyszy się tu i ówdzie, że samoobsługą zaraziły się już tramwaje. I co dalej, szary człowieku?

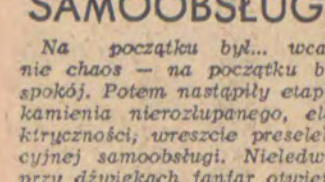

UWAGA, PRZESIADKA!

O łódzkiej komunikacji pisano już sporo. Nie zawsze może ona sprostać wymogom wielkiego miasta, ale jest chyba mimo wszystko sprawniejsza od warszawskiej. Przykro zatem, że zdarzają się wypadki, które dobre imię łódzkich tramwajarzy poddają w wątpliwość. Przykro, że u podłoża tych wypadków leży często zwykłe wygodnictwo.

Chodzi tu głównie o motorniczych linii 24 i 5. Na krańcówce na Żabieńcu mają oni zwyczaj zatrzymywać się na pętli daleko od przystanku i tam w spokoju ducha i samotności oczekiwać na czas odjazdu. Pasażerowie, których maleńka poczekalnia nie jest w stanie pomieścić, czekają na zimnie i deszczu. Prawdopodobnie motorniczy ma dość ciągłego „młyna", pasażerów, tłoków, rozmów za plecami i chce tę chwilę wolnego czasu odczekać w ciszy, ale... pasażer też człowiek i woli na odjazd czekać w wagonie, a nie na deszczu i błocie.

Rzecz druga — sławetne przesiadki. W godzinach nasilenia, kiedy tysiące ludzi wraca zmęczonych z pracy, znów ci sami tramwajarze linii 24 czy 5 na trzy przystanki przed krańcówką na Żabieńcu ordynują pasażerom przesiadki. Rozumiemy o co chodzi. Tramwaj wypadł z rozkładu, aby się znów w nim zmieścił, trzeba skrócić trasę. Motorniczy więc skraca tę trasę na pętli przy ul. Grunwaldzkiej i wraca do Śródmieścia. Pasażerowie muszą dostać się do innego tramwaju. Niełatwa to rzecz zważywszy, że operacji przesiadek dokonuje się najczęściej w godzinach nasilenia ruchu. Rozumiemy trudności i kłopoty MPK, ale przecież pasażer wykupił bilet, wraca do domu po ciężkiej pracy i chciałby dojechać do celu bez dodatkowych utrudnień. I ma, powiedzmy wprost, do tego pełne prawo.

UROCZYSTOŚĆ NA GÓRNEJ

Była to bardzo miła uroczystość. Otóż jak wiadomo wstąpiliśmy już w rok oświatowy 1963—64. Uroczystość jaka miała miejsce w Domu Kultury przy Elektrociepłowni była właśnie tego roku inauguracją. Nad estradą widniał napis: „Trzeba przede wszystkim wiele wiedzieć". Mądrą tę maksymę obrano sobie jako naczelne hasło rozpoczętego roku pracy.

Wśród zaproszonych na uroczystość znalazł się goszczący w Polsce węgierski działacz kulturalny dr Pakozdi Endrei. Poza tym widzieliśmy kierownika Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi mgr Ryszarda Stefańczyka, dyrektora Biblioteki im. Waryńskiego prof. Romana Kaczmarka, przedstawicieli KŁ i KD PZPR, wielu działaczy i pracowników kultury.

Bez przesady najatrakcyjniejszą częścią wspomnianej uroczystości był montaż literacki opracowany przez p. p. Szejak i Szarowską pod fachowym kierownictwem znanego poety Horacego Safrina. Montaż zresztą poprzedziła już w Łodzi fama mówiąca o wysokim poziomie i dużym ładunku ekspresji. Tak też było w istocie. Realizatorzy programu Szczotkowski i Kaczanowski wykorzystali stare, archiwalne fragmenty filmów. Na ich tle, na tle statycznych, wstrząsających swoją grozą murów getta strofy poetów brzmiały szczególnie przejmująco. Potem ekran szarzał — pięcioosobowa grupa recytatorów schodziła na proscenium, dźwięczały buchenwaldzkie dzwony i znów rozjaśniał się ekran i żołnierze I Dywizji składali ślubowanie morzu. I wreszcie klamra, wspaniałe zamknięcie montażu: dziesięciu młodziutkich chłopców pojawia się naraz na scenie i wybucha piosenka: „Pust wsiegda budziet solnce" — Niech zawsze będzie słońce". Na ekranie bielą się nowe szkoły, dzieci wojegają do nowych, słonecznych klas.

W tych 30 minutach autorzy montażu zawarli w olbrzymim skrócie najnowszą historię Polski. Wypowiedzieli w sposób głęboko wzruszający, pełen wyrazu, nasz hołd polonym i rozstrzeliwanym. Montaż literacki zespołu Domu Kultury przy Elektrociepłowni winno obejrzeć jak najwięcej osób. Wart jest tego.

ŁÓDŹ W OCZACH MALUCHÓW

Wydaje mi się, chyba nie bez słusznej dumy, jako łodzianinowi, że dopiero od powstania Towarzystwa Przyjaciół tego miasta przybywa coraz więcej zapaleńców — zagorzałych miłośników Łodzi. Rosną zdecydowanie szeregi prawdziwych przyjaciół miasta, przyjaciół zdeklarowanych w słowie i czynie. Tych, którzy chcą być w pierwszych szeregach tego ruchu — przyjmuje do swego grona Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, grono ludzi oddanych swemu miastu bez reszty.

Na silne zainteresowanie łodzian swym miastem, jego życiem kulturalnym i społecznym — wpłynęły bez wątpienia atrakcyjne i oryginalne formy pracy różnych sekcji i klubów TPŁ.

Tak np. Sekcja Organizacyjno - Imprezowa od szeregu lat inicjuje i organizuje jakże Łodzi potrzebny atrakcyjny ruch turystyczno - krajoznawczy. Są to wycieczki piesze, autokarowe, rowerowe, tramwajowe, kawalkady dorożkarskie, wszystkie zapoznają swych uczestników ze starą i nową Łodzią, wszystkie uczą miłości do miasta.

Ostatnio, sekcja ta wespół z Liceum Sztuk Plastycznych — gronem profesorskim i młodzieżą starszych klas, zorganizowała I łódzki konkurs rysunku dziecięcego pt. „Kredą po asfalcie ulicy Piotrkowskiej". W konkursie wzięło udział ponad 100 dzieci w wieku od lat 5 do 14. Oryginalną i ciekawa była fantazja „małych plastyków", rysujących kredą kolorową i białą po szarym łódzkim asfalcie. Czego tu nie było — powtarzał się rysunek perły łódzkich zabytków — Starego Ratusza, były tu nasze fabryki, stare domki tkaczy, kościoły, wieżowce, parki, ulice, tramwaje, ba, nawet łódzkie ZOO. Praca łódzkich plastyków — jurorów tego niecodziennego konkursu (art. i pedag. Pieniążka, Bożykowej, Jackowskiej, Kulejowskiej, Rozmusa), była trudna — nagrodzono aż 35 młodych plastyków — miłośników Łodzi. 10. X. br. odbyło się „uroczyste wręczenie nagród" w Klubie MPiK, gdzie padła zapowiedź organizowania następnych tego typu imprez dla łodzian w wieku lat od 4 do 10. Tematem znów będzie nasze miasto, jego życie i praca.

ZDZISŁAW KONICKI

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

HENRYK MODRZEWSKI

Ostatnio oglądaliśmy go na deskach Teatru im. Jaracza w „Malateście" — (patrz zdjęcie).

Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Odznaką Honorową m. Łodzi — pracuje jednak Henryk Modrzewski już sześć lat na stanowisku wykładowcy w PWSTiF w Łodzi, będąc jedynym z pedagogów a zarazem aktorów-praktyków posiadającym stopień naukowy doktora filozofii.

Trudno wyliczyć nieskończoną listę ról Henryka Modrzewskiego, pozostającego wiernym scenie od 1919 roku. Jako bliski przyjaciel i współpracownik Juliusza Osterwy występował zarówno w wileńskiej jak i warszawskiej „Reducie", grał na scenach Lwowa i Krakowa, w samym tylko „Weselu" występował w sześciu rolach w różnych inscenizacjach...

Do Łodzi — wraz z Iwo Gallem — zawitał w 1949 roku. Z jego najwybitniejszych ról z tego okresu przypomnijmy już tylko Sorina w „Mewie", wybornego Fieldinga w „Sędzia w potrzasku" i Malwolia w „Wieczorze trzech króli" Szekspira.

Tekst i zdjęcie
GERARD PUCIATO

U LITERATÓW

Imprezy organizowane przez Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich od dawna cieszą się w Łodzi zasłużonym powodzeniem. Szczególnie dotyczy to organizowanych w lokalu Związku wystaw prac malarzy łódzkich. Wystawiali tam, m. in. Wacław Kondek, Lech Kunka, Stefan Wegner. Parę miesięcy temu zaprezentowali swoją, twórczość także młodzi artyści, absolwenci łódzkiej Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych. Przed paroma dniami sezon wystaw u literatów otworzyła ekspozycja prac naszego malarza Henri Poulaina.

Artysta ten reprezentuje typ malarstwa o rysach nadrealistycznych, malarstwa dążącego do wyrażenia treści współczesnych poprzez nadrealistyczną formę. Obrazy Poulaina są w jakimś sensie „literackie", dominuje w nich anegdota, koresponduja zresztą z konkretną rzeczywistością literatury. Przykładem może być tu kapitalny cykl studiów Don Kichota.

Na otwarciu wystawy, w której udział obok przedstawicieli łódzkiego środowiska artystycznego wziął kierownik Katedry Estetyki z Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie prof. Nikołajew, — interesujący referat wygłosił prof. PWSSP w Łodzi — Henryk Anders. W referacie nie ograniczono się jedynie do określenia twórczości samego Poulaina ale scharakteryzowano w sposób bardzo wnikliwy historyczną genezę prądu nadrealistycznego w malarstwie światowym.

Bardzo interesujące sprawy podnoszono także w nader żywej i pełnej pasji dyskusji. Możemy odnotować, że szczególnie interesujące były wypowiedzi Stanisława Kaszyńskiego, Jana Koprowskiego, Romana Łobody, Władysława Rymkiewicza, Bernarda Sztajnerta, Jana Huszczy. Zastanawiano się głównie nad rodowodem artystycznym obrazów Henri Poulaina, nad możliwościami wyrażenia w tej właśnie estetyce treści i spraw współczesności, oraz nad stosunkiem tego typu malarstwa do literatury.

Interesującym novum wystaw w lokalu Związku Literatów jest umożliwienie obejrzenia eksponowanych tam prac szerszej publiczności. Salon ZLP przy ul. Mickiewicza 8 otwarty jest dla zwiedzających w godzinach 10—14.

Szanowny Panie Redaktorze

W n-rze 39 „Odgłosów" z 29. 9. 63 ukazała się wiadomość, że Teatr Ziemi Łódzkiej wystawi „przygotowaną dla młodzieży sztukę Janusza Odrowąż-Pieniążka „Niezwykła przygoda".

Chciałbym wyjaśnić, że żadnej sztuki o tym tytule nie przygotowuję, ani też nie udzielałem Teatrowi Ziemi Łódzkiej pozwolenia na adaptację żadnego z moich opowiadań (wraz ze zmianą tytułu).

Wdzięczny byłbym za zamieszczenie niniejszego sprostowania.

Łączę wyrazy poważania
JANUSZ

ODROWĄŻ-PIENIĄŻEK

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4: kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa", Łódź, Żwirki 17.
Zam. 7247 X. 63. K-4

ANEGDOTY

Do druku podał Bb. Chruściewski

Do ateliér znanego łódzkiego malarza w latach jego największego powodzenia (1901—1910) Henryka Szczyglińskiego, przyszedł zamożny przemysłowiec — dorobkiewicz, aby nabyć od niego obraz do swego salonu. Zastał gospodarza w zniszczonym ubraniu i zabrudzonym fartuchu przy stalugach, na których widniał jakiś rozpoczęty pejzaż. Dorobkiewicz popatrzył ze współczuciem na Szczyglińskiego i zauważył jak mógł najdelikatniej:

— To pan musi tak sam malować?

— Co zrobić — odparł Szczygliński — nie stać mnie na lokaja, muszę sam malować.

* * *

Gospodyni, u której mieszkał Michał Znicz, jako jeszcze młodziutki lecz już świetnie zapowiadający się aktor, zapytuje go nieśmiało:

— Ja bym tylko rada wiedzieć kiedy mi pan ostatecznie zapłaci za zaległe trzy kwartały komornego?

— Droga pani — odpowiedział Znicz — pytanie to przypomina mi, jak człowiek właściwie mało wie.

* * *

Był taki okres w łódzkich teatrach, że dyrekcje nie pozwalały wnosić kwiatów na scenę dla bohaterów danej sztuki, natomiast wnoszono je do kancelarii teatru, skąd obdarowany aktor odbierał sobie owe kwiaty. Co wpłynęło na podobną decyzję dyrekcji? Otóż podczas wystawiania w Łodzi „Nocy listopadowej", w której jedną z głównych ról, a mianowicie Pallas Ateny kreowała znakomita aktorka Helena Arkawin, po drugim akcie wniesiono wspaniały kosz kwiatów dla młodej urodziwej statystki, co publiczność przyjęła gwizdem i sykaniem.

KSIĄŻKA *dla* DYREKTORÓW *i* ORGANIZATORÓW

Łódzkie Towarzystwo Naukowe wspólnie z Państwowym Wydawnictwem Naukowym wystąpiło z ciekawą i pożyteczną inicjatywą wydając książkę Z. Izdebskiego i J. Tudreja pt. **Kierownicy przedsiębiorstw kapitalistycznych.**

Książka stanowi pierwsze polskie pełne opracowanie na temat kierownictwa przedsiębiorstw kapitalistycznych (management) oraz metod doskonalenia kadr kierowniczych. Zawiera ona m. in. treść ekonomiczno-organizacyjną pracy kierowników, ich aspekt społeczny, metody, formy i systemy istniejące w krajach kapitalistycznych. Szczegółowa analiza wysuwa szereg ważnych wniosków dla gospodarki polskiej. Obszerne aneksy zawierają programy (z komentarzami) doskonalenia kadr kierowniczych w różnych ośrodkach europejskich oraz przykłady opisów sytuacyjnych (case method i in.).

Aktualność tematyki w świetle uchwał XIII Plenum KC PZPR, nowe spojrzenie na teorię i praktykę kapitalistyczną oraz ciekawy i zarazem przystępny sposób przedstawienia przez autorów szeregu złożonych problemów, czyni z książki pozycję bardzo potrzebną i użyteczną w dziedzinie potrzeb gospodarczych i wychowawczych.

Książka ta powinna być wykorzystana w szkoleniu naszej kadry kierowniczej prowadzonym przez szereg instytucji, a m.in. może służyć jako zalecona literatura dla słuchaczy kursów dla dyrektorów, kierowników, ekonomistów i techników — organizatorów, studentów ekonomii, socjologii i prawa. Może też oddać poważne korzyści pracownikom naukowym i praktykom-działaczom gospodarczym oraz publicystom zajmującym się problemami ekonomicznymi, politycznymi i społecznymi, a zwłaszcza wobec przygotowywanej problematyki służb organizatorskich w naszych zakładach pracy.

Praca ta została zaopatrzona słowem wstępnym prof. Kotarbińskiego.

Z. Izdebski i J. Tudrej, **Kierownicy przedsiębiorstw kapitalistycznych**, Łódzkie Tow. Nauk., PWN Łódź 1963, s. 220, obwol., cena zł 39.—